egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

- KIM BYŁ BIERUT?
- SUBIRACY
- Z LUBLINA DO ŁAGRU
- „WARIACI" Z KRASNOBRODU
- DON KICHOT Z FIRLEJA
- „MEJKPISKI" Z PÓŁNOCNEJ
- PROGRAM TV

TYGODNIK WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 6 - 12 IV 1989 R. NR 12 CENA 70 ZŁ

PANEL „RELACJI"

BIERUT: MĄŻ STANU, AGENT CZY WYKONAWCA?

Ryszard Reiff: „Myśleliśmy o tym, co będzie za 50 lat" — str. 6—7. Fot. Jarosław M. Goliszewski

POSTAĆ Bolesława Bieruta stała się w ostatnich tygodniach ulubionym tematem publikacji prasowych, przedmiotem namiętnych sporów i roszczeń „likwidatorskich". Lublin, jak powszechnie wiadomo, zajmował w biografii tego człowieka miejsce szczególne, toteż lubelskie spory wokół jego osoby budzą specjalne emocje. Towarzyszyły one również dyskusji panelowej w redakcji „Relacji".

Uczestniczyli w niej: poseł na Sejm, prof. dr hab. Ryszard Bender — historyk z KUL, doc. dr hab. Tadeusz Radzik, dr Emil Horoch i dr Janusz Wrona — pracownicy Zakładu Historii Najnowszej UMCS, red. Norbert Wojciechowski (KUL) oraz Henryk Mioduchowski — kustosz Muzeum Historii Ruchu Robotniczego im. B. Bieruta w Lublinie. Redakcję reprezentowali Waldemar Piasecki i Leszek Wiśniewski.

„RELACJE": — Obecny tu dzisiaj pan Norbert Wojciechowski jest autorem głośnego już listu otwartego w sprawie zburzenia pomnika Bolesława Bieruta w Lublinie i wzniesienia, z uzyskanego surowca, monumentu ku czci ofiar stalinizmu...

NORBERT WOJCIECHOWSKI: — W odróżnieniu od wszystkich panów, nie jestem zawodowym historykiem, lecz polonistą, co przecież jednak nie zwalnia mnie od myślenia o polskiej przeszłości i od refleksji o dniu dzisiejszym. Zwykłe poczucie sensu i przyzwoitości zrodziło potrzebę napisania tego listu. Rzeczywiście spotkał się on z bardzo szerokim odzewem. Ludzie spotykają mnie na ulicy, dzwonią do domu, także z zagranicy, gratulują mi tego pomysłu, a ja teraz czuję się nieco zażenowany. Czuję po prostu, że to wszystko jest spóźnione, że trzeba było protestować wtedy, w 1979 roku, kiedy z wielką fetą stawiano ten pomnik. Zaledwie rok przed Sierpniem! Jak to było możliwe? Jak mogło do tego dojść po Październiku '56, kiedy przecież tyle spraw ujawniono, i po 1976 roku, gdy głośno zaczęto się domagać wyjaśnienia wielu białych czy też raczej czarnych plam z naszej przeszłości?... W sytuacji oczywistego już dla wszystkich kompromitowania się postalinowskich rządów Gierka uszczęśliwiono nas, w Lublinie, tym „dziełem sztuki".

Co do samego listu, to wyniosła go na światło dzienne nagła, zaskakująca fala zainteresowania Bierutem. List powstał w październiku, w listopadzie rozesłałem go do prasy. Nie puszczono go w „Tygodniku Powszechnym", zdjęto w „Gościu Niedzielnym" i dopiero raptem po X Plenum dostałem z Warszawy telefon, że można ten list puścić. W Lublinie nie otrzymałem żadnej odpowiedzi ani nawet informacji, czy list dotarł do adresatów, mało tego — w kilka dni po jego wysłaniu musiałem się tłumaczyć, że nie szykuję żadnej prowokacji. Uważam, że jest najwyższa pora, by poważnie się sprawą Bieruta zająć, gdyż emocjonalnie negatywny stosunek Polaków do jego osoby, w połączeniu z oczywistą irytacją społeczeństwa, prowadzi do gwałtownych działań w stylu oblewania pomnika farbą, czego w żadnym razie nie akceptuję. Z drugiej strony, jest to nieco żenująca sytuacja, kiedy X Plenum daje błogosławieństwo i nagle wszystkie publikatory rozpoczynają natarcie na Bieruta. Dziwne, że był to dotąd temat tabu, mimo, powtarzam, Października i jego konsekwencji.

TADEUSZ RADZIK: — A dla mnie to wcale nie jest takie dziwne, że ten pomnik stanął właśnie w Lublinie i właśnie w latach siedemdziesiątych, a nie, na przykład, w pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Otóż jest charakterystyczne, że każda nowa ekipa władzy, widać to nie tylko u nas, ale zwłaszcza dobrze w Związku Radzieckim, usiłuje odciąć się, zdyskredytować poprzedników. Gomułka, dochodząc do władzy w 1956 roku, odciął się od stalinizmu, potępił go i odżegnał się tym samym od Bieruta i jego ludzi. Kiedy w 1970 roku dochodzi do władzy Gierek, odcina się z kolei od ekipy Gomułki. Następna ekipa odcina się dla odmiany od grupy Gierka. Jednakże w latach siedemdziesiątych następuje niejako rehabilitacja Bieruta, zaś w ostatnich latach obserwujemy coś w rodzaju rehabilitowania Gomułki. I to jest pewna prawidłowość. Wynika ona z faktu, że partia chce swoją władzę legitymizować „historycznie", nie może zatem potępiać wszystkich poprzednich ekip, bo okazałoby się, że wszystkie one były złe i fakt ten osłabiałby prawomocność mandatu do sprawowania władzy przez nią samą. W związku z tym po każdym kolejnym zwrocie usiłuje się rehabilitować poprzedników poprzednika. Właśnie to miało miejsce w przypadku Bieruta i jego lubelskiego pomnika.

Proszę zwrócić uwagę, że w Związku Radzieckim ten mechanizm działa równie przejrzyście. Chruszczow potępia Stalina, Breżniew potępia Chruszczowa, ale niejako usiłuje rehabilitować Stalina, obecna ekipa, rozprawiając się ze Stalinem, przywołuje z kolei postać Chruszczowa. Jest to szukanie pozytywnych elementów dla podtrzymywania ciągłości tradycji partii.

Uważam naturalnie, że źle się stało, iż ten pomnik powstał, i to właśnie w Lublinie, że stoi u nas do dzisiejszego dnia. Z tą sprawą trzeba będzie coś zrobić, natomiast nie uważam za najszczęśliwsze rozwiązanie, wybaczy pan, panie profesorze, scedowanie decyzji na władze centralne w Warszawie przez posłów lubelskich. To nie centrala musi decydować o nie najważniejszej w

Ciąg dalszy na str. 2—3

relacje ZE ŚWIATA

● NA JEDNYM z BUDAPESZTEŃSKICH CMENTARZY, w bezimiennej zbiorowej mogile, odnaleziona została trumna, w której — według wszelkiego prawdopodobieństwa — znajdują się szczątki Imre Nagya. Jak wiadomo, I. Nagy, premier Węgier w 1956 r., dwa lata później został stracony za zdradę stanu.

Pogrzeb Imre Nagya i jego towarzyszy odbędzie się 16 czerwca, w 31 rocznicę ich stracenia.

● DRUGIEMU JUŻ FIZYKOWI AMERYKAŃSKIEMU udało się przeprowadzić w warunkach laboratoryjnych kontrolowaną reakcję termojądrową. Przeniesienie tego eksperymentu do wymianu przemysłowego oznaczać będzie rozwiązanie problemów energetycznych świata.

● OD 28 KWIETNIA DO 6 MAJA Jan Paweł II z pasterską wizytą przebywać będzie na Madagaskarze, w Reunion, Zambii i Malawi. Węgierska agencja prasowa MTI podała wiadomość, że na Węgry papież przybędzie we wrześniu 1991 r.

● AMERYKAŃSKA SEKCJA Światowego Kongresu Żydów zwróciła się do 70 sekcji tej organizacji na całym świecie z wezwaniem do bojkotu spotkań z papieżem Janem Pawłem II podczas jego zagranicznych podróży. Jak wynika z komunikatu dołączonego do apelu, amerykańska sekcja ŚKŻ w ten sposób protestuje przeciwko obecności polskich zakonnic w klasztorze istniejącym przy terenie b. obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Ten fakt autorzy komunikatu odbierają jako wyraz dążenia Watykanu do „przeprowadzenia rewizji historii zagłady (Żydów) i roli Kościoła w tym strasznym okresie".

● W SEATTLE (USA), w zakładach Boeinga, przechodzi przeszkolenie 30 polskich pilotów, którzy na liniach „LOT" poprowadzą samoloty B-767 200. Maszyny owe o trzy generacje wyprzedzają te, na których dotychczas latali.

● DWAJ SZESNASTOLATKOWIE z Czechosłowacji po sterroryzowaniu pistoletem stewardessy uprowadzili węgierski samolot do Frankfurtu nad Menem.

● ŻONA PRZYWÓDCY RUMUNII Nicolae Ceausescu, Elena, jest jego pierwszym zastępcą. Syn — Niou — był wiceministrem, a teraz jest zastępcą członka Politycznego Komitetu Wykonawczego KC RPK. Najstarsza siostra — Marina — pełni funkcję szefa biura Radcy Handlowego w Wiedniu. Jeden z braci — Ilie — jest wiceministrem obrony narodowej, a drugi brat — ministrem rolnictwa. Zaś brat Eleny — tow. Petrescu — jest wiceprezesem.

relacje Z KRAJU

● W CZASIE SPOTKANIA: Kiszczak — Wałęsa omówione zostały rozbieżności powstałe w czasie obrad zespołów i podzespołów „okrągłego stołu". Rozbieżności jest sporo, są one różnej natury, a zgłaszają je wszystkie strony biorące udział w debacie. Np. przy „stoliku ekonomicznym" spór o indeksację toczony jest przez stronę rządowo-koalicyjną i opozycyjno-solidarnościową przeciwko... reprezentacji OPZZ. Gdy podajemy te słowa do druku, przypuszczalnym terminem posiedzenia plenarnego jest 5 kwietnia.

● PODCZAS XI Plenum KC PZPR (31 marca) zaaprobowane zostały dotychczasowe rezultaty „okrągłego stołu"; ustalono także, iż 4 i 5 maja odbędzie się Krajowy Zjazd Delegatów.

● CZY 1 MAJA wyruszą pochody na ulice polskich miast i miasteczek? Organizatorzy obchodów — nie mają jednoznacznej opinii.

Mieszkańcy Warszawy, zarówno partyjni jak i bezpartyjni, odpowiadając na pytanie ankiety, opowiedzieli się w większości za zastąpieniem pochodu inną formą uczczenia tego święta.

● NA KRAKÓW w ciągu roku — raportują eksperci PAN — spada 129 tys. ton pyłów (czterokrotnie przekracza to polskie normy) i ponad 600 tys. ton gazów. Konsekwencją ogromny wzrost zachorowań, szybciej niszczeją (nawet do 40 razy!) zabytki. Sprawczynią jest — zbudowana w tym miejscu ze względów ideologicznych — Huta im. Lenina. By ratować Kraków przed dalszą degradacją, należałoby zamknąć niektóre wydziały huty, a w pozostałych zmienić technologię produkcji.

● WYPRODUKOWANIE SZNURKA DO SNOPOWIĄZAŁEK nadal przerasta możliwości naszych fabryk. Po pomoc zwrócono się więc do Brazylijczyków.

● SPOŁECZNOŚĆ LITEWSKA w Polsce liczy ok. 30 tys. osób. O jej problemach mowa była podczas spotkania w Radzie Krajowej PRON.

● JEDEN Z ZABÓJCÓW ks. J. Popiełuszki, W. Chmielewski, opuści w końcu kwietnia zakład karny.

● WYSOKIE I NADAL ROSNĄCE CENY zmuszają do ograniczenia wydatków. Z ankiety Akademii Ekonomicznej w Katowicach wynika, że oszczędzamy, rezygnując między innymi z: życia towarzyskiego (67 proc. respondentów), wycieczek i wyjazdów wakacyjnych (64 proc.), zakupu książki i prasy (27 proc.). Większość naszych dochodów (40—70 proc.) przeznaczamy na żywność.

● W POLSKICH DOMACH jest od 8 do 14 milionów (!) niesprawnych odkurzaczy. Nie wierzących w prawdziwość tej informacji (pochodzi ona ze wspólnego posiedzenia ministerstw: Przemysłu i Rynku Wewnętrznego) wysyłamy — z zepsutym odkurzaczem — do bliższych i dalszych punktów naprawy.

● KOMITET KINEMATOGRAFII zaproponował Urzędowi Kontroli Publikacji i Widowisk — informuje „Przegląd Tygodniowy" — ponowne obejrzenie filmów nie posiadających wizy cenzorskiej. Dotyczy to dwóch filmów fabularnych: „Przesłuchania" R. Bugajskiego (leżącego „na półce" od 1982 r.) oraz „Przy torze kolejowym" A. Brzozowskiego (1963 r.), a także siedmiu obrazów dokumentalnych, w tym „Robotnicy 80" A. Zajączkowskiego.

● W WARSZAWSKIM Teatrze Powszechnym Feliks Falk wyreżyserował dwie jednoaktówki — „Audiencję" i „Protest" — znakomitego czeskiego dramaturga Vaclava Havela, skazanego ostatnio przez sąd praski „za działalność antysocjalistyczną i antypaństwową" na osiem miesięcy więzienia.

● ZAKAZEM PRZYWOZU DO KRAJU objętych jest — formalnie rzecz biorąc — sześć wydawnictw, w tym paryska „Kultura". Jako że na jej łamach publikowani byli i są najwybitniejsi twórcy krajowi i emigracyjni, formułowana jest propozycja (m.in. przez poznański tygodnik „Wprost") zniesienia tego anachronicznego obostrzenia.

relacje Z REGIONU

● MIECZYSŁAWOWI WILCZKOWI w lubelskiej FSC zgotowano owację. Obyło się, inaczej niż przed laty, bez klakierów. W ten sposób załoga wyraziła wdzięczność niekonwencjonalnemu ministrowi przemysłu za podjęcie decyzji o produkcji nowego samochodu dostawczego (wekslowane zabiegi trwały kilkanaście lat), co w praktyce oznacza uratowanie fabryki przed „śmiercią głodową", a zarazem rozwiązanie w niedalekiej przyszłości niedostatku taboru. Nowy i względnie nowoczesny samochód dostawczy (o ładowności 1300 kg) opuści lubelską fabrykę pod koniec 1991 r. W następnych latach schodzić będzie z taśm od 5 do 28 tys. sztuk takich pojazdów, a później i większe.

Nowe możliwości produkcyjne zgłosiły ministrowi Zakłady Metalurgiczne „Ursus" (odlewy silnika i odkuwki dla następcy „malucha"), świdnicka WSK (skrzynie biegów), jak też FSC, która, po usunięciu nazwiska dotychczasowego patrona, nazywać się ma po prostu „Fabryka Samochodów w Lublinie".

● STRAJKI I PROTESTY ROLNIKÓW, które ogarnęły już cały nasz region, przybierają zorganizowaną formę. Do tematu tego powrócimy w oddzielnej publikacji.

● WYPIEK CHLEBA ŻYTNIEGO przynosi straty wynoszące dziennie ok. 670 tys. złotych, utrzymanie tego stanu rzeczy grozi Państwowemu Przedsiębiorstwu Piekarskiemu w Lublinie bankructwem — głosi oświadczenie Rady Pracowniczej tegoż przedsiębiorstwa.

Od poniedziałku (3 bm.) zaniechano w lubelskich piekarniach produkcji chleba żytniego, zwiększono natomiast dostawy pieczywa droższego: bułek i chleba pszennego.

● TRADYCYJNA już „Wiosna teatralna", organizowana staraniem Teatru im. J. Osterwy, w tym roku zawita do Lublina między 26 kwietnia, a 26 maja. Przyjazd potwierdziły: Teatr Leninowskiego Komsomołu Białorusi z Brześcia z „Dziećmi Arbatu", Teatr Stu z Krakowa z „Kto się boi Wirginii Woolf" w reż. M. Grabowskiego, wrocławski T. Współczesny z „Samobójcą" w reż. A. Jarockiego, Teatr Dramatyczny z Egeru z „Białym małżeństwem" w reż. A. Rozhina; warszawskie teatry — Polski ze „Sztuką konwersacji" w reż. A. Łapickiego (występują A. Seniuk i A. Łapicki), Powszechny z „Lekcją polskiego" w reż. A. Wajdy (z udziałem J. Szczepkowskiej i T. Łomnickiego), Ochoty z „Zapiskami więziennymi ks. kardynała Wyszyńskiego". Dramatyczny z „33 omdleniami" w reż. T. Pawłowicza (występują E. Żukowska i Zb. Zapasiewicz); natomiast T. Polski z Bydgoszczy przywiezie „Mistrza i Małgorzatę" w reż. T. Pawłowicza. Sprzedaż biletów po 10 kwietnia.

Swój niezbyt bogaty sezon 1988/89 Teatr im. J. Osterwy dopełnić ma „Markizem de Sade" (autor: Yukio Michima, reż. Konrad Lesicz, premiera na małej scenie w kwietniu) oraz „Królobójcami" wg Łojka, w reżyserii Andrzeja Rozhina (pierwsze przedstawienie przed wakacjami).

● CMENTARZ ŻYDOWSKI w LUBLINIE stał się ofiarą zwyrodniałczych wyczynów grupy wyrostków. Znad bramy wejściowej została zerwana tablica informacyjna i porzucona kilkadziesiąt metrów dalej. Na samym kirkucie zniszczone zostały dwie płyty nagrobne (macewy) pochodzące z XVIII wieku. Natomiast trzecią wandale wyrzucili przez mur cmentarny na chodnik ulicy Kalinowszczyzna. Nagrobek, spadając omal nie trafił przechodnia. Rzecz miała miejsce w ubiegły piątek około godziny 12, a sprawcy działali w poczuciu zupełnej bezkarności. Nekropolia lubelska należy do trzech najstarszych żydowskich cmentarzy w Polsce. Kirkut jest miejscem kultowym odwiedzanym przez Żydów z całego świata. Prezydent miasta Edward Leńczuk wyraził z powodu aktu wandalizmu wyrazy ubolewania i zadeklarował szybkie działania zmierzające do naprawy szkód, a także skuteczniejszej ochrony zabytku w przyszłości. (i)

Opracował: **Zbigniew Miazga**

Czytelników, którzy potraktowali poważnie tekst pt. „Nareszcie!" w nr. 11 naszego czasopisma, informujemy, że był to żart primaaprilisowy. Choć naturalnie problem, o którym traktował, do śmiechu nie jest.

Nie zamierzonym natomiast dowcipem primaaprilisowym w tymże nr. 11 okazało się opublikowanie na str. 1 podobizny Marii Wodzińskiej, muzy romantycznej — jako... Leontyny Halpertowej, że chodzi o podobiznę Wodzińskiej, można sprawdzić w wydawnictwie Interpressu pt. „Chopin" (1985, str. 24). Przepraszamy. **Red.**

Ciąg dalszy ze str. 1

końcu dla Polski, kwestii: czy w Lublinie ma stać pomnik Bieruta? To unik, gdyż sprawa ta daje się absolutnie załatwić na miejscu.

NORBERT WOJCIECHOWSKI: — Świetnie pan to określił. Przecież to nic innego, jak szczątkowe stalinowskie myślenie. Czekać, co powie Warszawa, jak zareaguje, i dopiero wtedy my ewentualnie może coś... Panowie, no przecież jeżeli jest zima i ja wychodzę na dwór, to nie potrzebuję termometru, żeby stwierdzić, że jest zimno. Nie dajmy się zwariować!

RYSZARD BENDER: — Zaraz, zaraz. To nie jest całkiem tak, że jako posłowie przerzuciliśmy pileczkę na drugą stronę kortu i udaliśmy się do szatni. Intencją, która przyświecała moim kolegom przy składaniu wniosku do Prezydium Sejmu, było nadanie sprawie Bieruta możliwie szerokiego rezonansu społecznego, bo ona w żadnej mierze nie ma charakteru lokalnego. Ten Sejm, który działał i działa do dziś w oparciu o konstytucję z 22 lipca 1952 roku, którą przygotował Bierut, winien się wypowiedzieć w jego sprawie, wykrztusić swoją opinię. I dobrze, że w tej materii zwrócono się do Sejmu. Stąd też nie w pełni zgadzam się z tym, co stwierdził ostatnio na łamach „Tygodnika Powszechnego" pan Piotr Wierzbicki. Pomnik, jego usunięcie — tak, zgoda i to naturalnie może się zdecydować na miejscu, tak jak będzie sobie życzyło społeczeństwo. Ale Bierut to jednak coś więcej niż parę ton spiżu. Bierut jest symbolem określonego systemu sprawowania władzy, dla wielu ludzi symbolem terroru i represji, polskim upostaciowieniem stalinizmu. Proponuję raczej o tym rozmawiać, szerzej nieco potraktować temat.

NORBERT WOJCIECHOWSKI: — Ironią losu jest fakt, że pomnik Bieruta stoi naprzeciw Zamku, w którym miały miejsce pierwsze represje i gdzie wykonano pierwsze wyroki śmierci na patriotach i bohaterach — członkach ruchu oporu, których jedyną winą była przynależność do Armii Krajowej. Zamek symbolizuje represje tamtego czasu, którym właśnie Bierut patronował i aktywnie je współtworzył. Początek stalinizmu to przecież właśnie „Polska Lubelska". I tego nic nie zmieni.

RYSZARD BENDER: — Zgadzam się z panem. Są symbole, które muszą zniknąć, choćby było to czymś szokującym. Sobór prawosławny, który rozebrano po odzyskaniu niepodległości, zniknął z placu Litewskiego nie z racji antyrosyjskości, tylko dlatego, że symbolizował pewien system represyjny. Podobnie jest i z tym pomnikiem — uważam, że on nie powinien stać, bo oznaczałoby to iż nie nie potrafimy obronić się przed przeszłością i wyprostować naszej postawy.

„RELACJE": — Właśnie — obronić się przed przeszłością! Spróbujmy może zastanowić się nad samą osobą Bolesława Bieruta, oceną jego działalności politycznej i roli w systemie stalinowskim. Jak panowie postrzegacie tę postać, co właściwie o nim wiemy?

RYSZARD BENDER: — W moim przekonaniu, Bierut był mistrzem kamuflażu politycznego. Wiemy, że jego umocowanie w nowej rzeczywistości miało podłoże nie tylko polityczne, co agenturalne. Był przecież, wynika to ze wspomnień różnych osobistości ówczesnej epoki, kadrowym pracownikiem radzieckiego aparatu bezpieczeństwa. Wymieniono go w okresie międzywojennym na polskich pracowników wywiadu, odwiedzał w wiadomych celach Czechosłowację i Bułgarię. Po 17 września 1939 roku na terenach polskich, w Białymstoku, Bierut nie pełnił żadnej funkcji politycznej, w przeciwieństwie do Marcelego Nowotki i Jana Turlejskiego, którzy agitowali za nową władzą radziecką i przyłączeniem Białostockiego i Łomżyńskiego do ZSRR. Bierut w Białymstoku pełnił bliżej do dziś nie wyjaśnione funkcje w ramach nowej rzeczywistości radzieckiej, można domniemywać, iż w powiązaniu i na zlecenie NKWD. Miał objąć kierownictwo szkoły, ale atak niemiecki na ZSRR spowodował ucieczkę Bieruta na wschód. Dotarł, jak wiemy, do Mińska na Białorusi, zajętego już przez Niemców. Tam pracował w zarządzie miejskim kontrolowanym przez okupanta. Ten epizod z jego życia jest mało znany i wręcz pomijany. Warto byłoby skupić na nim uwagę historyków, poszukać źródeł u nas i w ZSRR.

I ten człowiek po 22 lipca 1944 r. okazał się znacznie bardziej elastyczny od swoich kolegów partyjnych w odniesieniu do wyczucia nastroju narodowego, elementów polskiej tradycji, symboliki itd. Na przykład w okresie tworzenia Gwardii Ludowej symbolem

BIERUT: MĄŻ STANU, AGENT CZY WYKONAWCA?

tej organizacji był czerwony trójkąt, a nie orzeł. Kiedy Bierut znalazł się w Krajowej Radzie Narodowej — pojawił się z nim orzełek. Dążył usilnie do „tradycyjnej" legitymizacji władzy — z czasem z przewodniczącego KRN przemianowuje się na prezydenta KRN, jego auta nie mają rejestracji, mają za to przedwojenne proporczyki; przywraca się narodową symbolikę. Bierut dążył do restytucji przedwojennego wystroju politycznego, bo wiedział, że to jest społecznie nośne.

TADEUSZ RADZIK: — Dodam jeszcze udział w procesjach kościelnych oraz wielkie imprezy patriotyczno-żołniersko-religijne...

RYSZARD BENDER: — Oczywiście, uczęszczał do kościoła, jak najbardziej. On to wszystko wokół siebie umiejętnie organizował, tworzył pewien złudny obraz, a jednocześnie sam pozornie, skromnie usuwał się na bok. Pamiętam takie zdarzenie z 1955 roku, kiedy z okazji 50. rocznicy rewolucji obchodzonej w Lublinie nasz rektor otrzymał zaproszenie dla dwóch osób. Udaliśmy się dwaj: doktor Jerzy Łukaszewski (dziś rektor College d'Europe w Brugge) i ja. Dr Łukaszewski miał wystąpienie, ja się przyglądałem wtedy Bierutowi. Jak on się starał, jak próbował pomniejszać swoją rolę, swoje znaczenie polityczne. Stwarzał przekonanie, iż jest jakby apolityczny, pozapolityczny, że reprezentuje jedynie „Majestat Rzeczypospolitej". Rzeczpospolita zresztą nie schodziła Bierutowi z ust: suwerenna, demokratyczna, najjaśniejsza — odmieniano to w prasie we wszystkich przypadkach, zawsze z jego „skromną" osobą. Przecież sam siebie uczynił formalnie bezpartyjnym, mimo że był człowiekiem od dawna powiązanym z partią, co stanowi wręcz ukoronowanie jego oportunizmu.

Jednocześnie ten „gorący patriota" w bezpartyjnych szatach, rozwijał, przy współudziale Bermana, Zambrowskiego i innych, cały system represji, decydował o wyrokach śmierci i aresztowaniach. Kiedy zaś w związku ze zmianą sytuacji europejskiej następuje zmiana zamówienia politycznego ze strony mocodawcy, Bierut cynicznie likwiduje cały tradycyjno-narodowy obrządek, kasując nawet własny urząd prezydencki! A także konstytucję, wprowadzając na jej miejsce nową, przy której konstruowaniu ma absolutnie decydujący głos. Tworzy cały system dziwnych ciał i układów, burzących system wynikający z Konstytucji Marcowej, na której chciał się opierać i na którą, jako prezydent, przysięgał kończąc słowami: Tak mi dopomóż Bóg! To wszystko burzy, robi się premierem, po to, by uczynić zadość życzeniom Stalina oraz posłusznie wykonać to, do czego poprzez swoją agenturalność, był zobowiązany.

Jego „zasługą" jest, iż kraj nasz od 1952 roku przybrał niezgodną z tradycją nazwę PRL, zamiast bliską i od wieków obowiązującą — Rzeczpospolita Polska. Wielka szkoda, że przy obecnie dokonywanych zmianach konstytucyjnych nie zrezygnowano z tego obco brzmiącego „PRL".

EMIL HOROCH: — To chodzenie do kościoła, nawiązywanie do Rzeczypospolitej... Czy to nie wynik przyjętych przez PPR i PPS założeń do 1948 roku (do plenum czerwcowego)? Przypomnę, że w lipcu—wrześniu 1948 r. ma miejsce ostry zwrot polityczny w kierownictwie PPR, odchodzi Władysław Gomułka, zostaje przyjęta teza o prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniu. Na III Plenum w Listopadzie 1949 r. Bierut wygłasza referat, w którym stwierdza, że ludzie o poglądach przeciwnych oficjalnej linii, to agenci imperializmu. Ta akcja ma miejsce we wszystkich krajach demokracji ludowej. Panuje obsesja i „titoizm". Na siłę szuka się agentur. W Polsce Biuro Specjalne, a potem X Departament MBP gromadzi i preparuje materiały do przyszłych procesów politycznych. I pytanie — na ile ta akcja była sterowana z Moskwy? Jaką rolę odegrał Bierut? Czy rolę wykonawcy poleceń, czy ucznia, który chce być bardziej stalinowski niż sam Stalin.

TADEUSZ RADZIK: — Zgodzimy się tu chyba wszyscy z tym, że Bierut był mistrzem kamuflażu politycznego. Musiał nim być, bo inaczej on i jego ekipa nie uzyskaliby nawet minimalnego poparcia. Gdyby od razu chcieli realizować ten program, który stopniowo oczywiście potem zrealizowali. Natomiast odnosiłbym się nieco bardziej oględnie do tezy, że Bierut był agentem NKWD. Skąd ta teza się bierze? Jednym z pierwszych, który tę sprawę podniósł publicznie, był Światło. W którejś ze swoich audycji w Wolnej Europie mówił tak: „Przed wojną Bierut nie był żadnym przywódcą KPP i był całkowicie nieznany w jej szeregach. Wtedy Bierut był tylko płatnym agentem NKWD. W nagrodę za wiernopoddańczą służbę Stalinowi i NKWD Rosja Sowiecka mianowała Bieruta sowieckim wielkorządcą Polski". Teza o płatnym agencie NKWD funkcjonuje w społecznej świadomości do dnia dzisiejszego, spotykamy ją w potocznych opiniach ludzi i czasami w publicystyce niezależnej. Tymczasem jednoznaczne stwierdzenie, że Bierut był płatnym agentem, nie jest możliwe. Na pewno możemy jedynie stwierdzić, że był etatowym funkcjonariuszem partii — KPP, oraz Kominternu, z którego ramienia przebywał w Czechosłowacji, Austrii i Bułgarii. Nie wyklucza to jego podporządkowania także NKWD, jest to nawet bardzo prawdopodobne, natomiast nie jesteśmy w stanie tego udowodnić. A historyk powinien operować kategoriami jednoznacznymi. Mało tego, w moim przekonaniu chyba nigdy nie będziemy dysponowali źródłami...

RYSZARD BENDER: — Nie mówmy: nigdy, mówmy — długo nie będziemy ich mieli...

TADEUSZ RADZIK: — Jestem sceptykiem! Bo cóż by to oznaczało? [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Wątpię, żeby decyzje o ujawnieniu tak kompromitujących materiałów mogły być podjęte.

„RELACJE": — Tę tezę podtrzymuje również Berman w rozmowie z Teresą Torańską.

TADEUSZ RADZIK: — Byłbym i w tym przypadku bardzo ostrożny. Są to tylko sugestie. Nie możemy jednak postawić tu kropki nad „i".

EMIL HOROCH: — Zauważyłem pewną niebezpieczną skłonność w tej naszej rozmowie. Mówiąc o Bierucie, skupiamy się cały czas na jego sylwetce, osobowości, słowem traktujemy go indywidualnie w pewnym oderwaniu od realiów ówczesnych. Można się naturalnie zastanawiać, który Bierut jest prawdziwszy — czy ten głaszczący dzieci, karmiący sarenki w Łazienkach, czy też ten zlecający wszczęcie procesów, odrzucający akty łaski, czy też może ten, jak twierdzi Sokorski, lubiący życie. Tymczasem musimy zastanowić się nad tamtą epoką, nie patrzeć z punktu widzenia dnia dzisiejszego. W ocenie każdej jednostki historycznej — Piłsudskiego, Dmowskiego, Gomułki — trzeba starać się zrozumieć realia, w jakich ci ludzie żyli, zrozumieć epokę, która ich kształtowała, poznać uwarunkowania. Przecież Bierut nie wyskoczył nam nagle jak deus ex machina.

RYSZARD BENDER: — Tak właśnie nam wyskoczył! Nazwisko wcześniej nie było nikomu znane.

EMIL HOROCH. — Uważam, że Bierut jest typowym produktem poglądów i orientacji wewnątrz KPP przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. Przypomnę, że w 1929 roku zakończyła się walka frakcyjna między tzw. większością i mniejszością w KPP. Zwyciężyła, jak wiadomo, mniejszość na czele z Leńskim, popieranym przez Komintern i Stalina. Dokumenty wskazują wprawdzie, że Bierut był ideowo związany z grupą większościową Warskiego i Koszutskiej, lecz jednocześnie był etatowym funkcjonariuszem Kominternu i był zmuszony do akceptacji stanu rzeczy. I jeśli teraz przeniesiemy się w lata czterdzieste, do PPR, przeanalizujemy ówczesny spór o drogę budowania w Polsce socjalizmu, spór między zwolennikami modelu radzieckiego i polskiej drogi do socjalizmu, okaże się, iż jest to ciągle jeszcze echo sporów ideologicznych w KPP. Działacze, którzy później realizowali w Polsce model stalinowski, wywodzili się właśnie z kapepowskiej frakcji mniejszościowej.

Próbowałbym zatem definiować Bieruta na tle epoki, która go ukształtowała, a nie wyrywać go z politycznego kontekstu. Pamiętajmy, że koniec lat czterdziestych to w ZSRR powrót do systemu wielkiej czystki, do wielkich procesów moskiewskich z lat trzydziestych, do ówczesnych metod. Te efekty i te metody Bierut doskonale znał i przypuszczam, że wyciągnął wnioski z lekcji o KPP...

I jeszcze sprawa agenturalności Bieruta. Światło i jego wspomnienia nie są zbyt miarodajnym źródłem historycznym. Jego książka powstała w określonym czasie, na określone zamówienie, pełna nienawiści i jadu, wybielająca osobę autora kosztem innych, w tym właśnie Bieruta.

TADEUSZ RADZIK: — Miała ta książka wykonać zadanie propagandowe i to się zresztą w dużej mierze udało. Zarazem odegrała rolę demaskatorską wobec systemu. Wstrząsnęła społeczeństwem i rządzącą ekipą. Z pewnością, gdyby Berman i Światło przyznali, iż sami byli agentami NKWD, byłoby to bardziej przekonujące.

JANUSZ WRONA: — Ja bym aż tak nie dezawuował tego źródła. Uważam, że Światło podaje cały szereg bardzo cennych wskazówek, w jakim kierunku powinny pójść nasze prace badawcze. O ile można polemizować z poglądami Światły, to fakty i wydarzenia, które on opisuje, są niekwestionowane. Można z pewnością mówić o propagandowej roli jego wystąpienia w odniesieniu do 1954 roku, ale dziś trzeba na to spojrzeć nieco inaczej i zgadzam się z tezą Nowaka-Jeziorańskiego, że enuncjacje Światły odegrały istotną rolę w procesie destalinizacji. Powiedział rzeczy naonczas rewolucyjne i one miały także wpływ na samego Bieruta.

Chciałbym jednak zatrzymać się jeszcze na chwilę przy tym, co mówił pan Horoch, iż koncentrujemy się na wyizolowanej osobie Bieruta, tymczasem pomijamy zupełnie pojęcie tzw. bierutowszczyzny jako synonimu polskiego stalinizmu. Analiza systemu stalinowskiego w Polsce wymaga zaś uwzględnienia sytuacji zewnętrznej i potem wewnętrznej. Ponieważ wpływ Związku Radzieckiego na sytuację polityczną w Polsce był od samego początku dominujący i można mówić o ograniczonej suwerenności, więc należy zbadać, jakie były ramy tej suwerenności, jak wyglądały mechanizmy władzy i stosunki polsko-radzieckie. Jak wyglądała swoboda decyzji, które ta grupa kierownicza z Bierutem na czele miała w ramach tego systemu. Na przykład ze zdziwieniem skonstatowałem, że doradcy radzieccy, w liczbie kilkunastu tysięcy, nie byli ulokowani jedynie w wojsku i UB, ale że byli we wszystkich resortach.

HENRYK MIODUCHOWSKI: — Nawet w powiatach...

JANUSZ WRONA: — Właśnie. Do dzisiaj trudno ustalić, co było wynikiem poczynań Bieruta, co Bermana, co zaś oficerów radzieckich, o czym decydował sam Bierut, o czym aparat represji na własną rękę. Stąd mierny efekt tzw. raportu Romana Nowaka, będącego opracowaniem przygotowanym przez specjalną komisję KC PZPR, powołaną na VIII Plenum KC w październiku 1956 r. Można zatytułować go tak jak uczyniła to „Polityka" — „Nikt nic nie wiedział". Czy któryś z panów zetknął się chociaż z jedną relacją doradcy radzieckiego z jego pobytu w Polsce? Nie ma! Wiemy natomiast z innych relacji, że byli to ludzie, do których należał głos decydujący w większości spraw, byli „szarymi eminencjami". Berman expressis verbis powiedział przecież, że wszystkie decyzje „pobierane były za radą towarzysza Stalina" i że nic w tych latach nie działo się w Polsce, o czym by Stalin nie wiedział i czego by nie zaakceptował. Więc musimy zdawać sobie sprawę z kreującej roli Stalina. Otóż z absolutym zdumieniem przeczytałem niedawno wywiad z jugosłowiańskim politologiem Duszanem Milandzicem, w którym utrzymuje on, że Tito i cała grupa jugosłowiańskich komunistów do 1948 roku wierzyła w Stalina w taki sam sposób, jak wierzyli wszyscy komuniści wywodzący się z grupy kominternowskiej. To zna-

Dokończenie na str. 14

Ryszard Bender

Emil Horoch

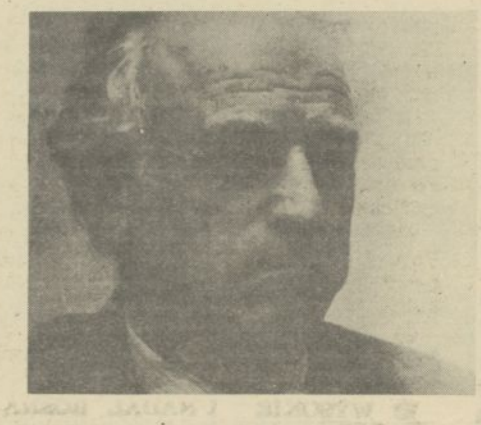

Henryk Mioduchowski

Tadeusz Radzik

Norbert Wojciechowski

Janusz Wrona

LISTY - POLEMIKI

„LUBELSKI SEN O SZTUCE (PLASTYCZNEJ)"

Pod powyższym tytułem w „Relacjach" nr 5 ukazał się artykuł Violetty Krasnowskiej, omawiający „dzieje i nadzieje" Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie. Autorka, nie będąc pewna własnego zdania na podjęty temat, posługuje się opinią innej osoby i pisze tak: „Jerzy Kostka, były pracownik tego instytutu, nazwał go przechowalnią młodzieży, która ma aspiracje artystyczne. Młodzieży, która wykorzystuje bezwład programowy tej uczelni, żeby przetrzymać kilka lat, albo się potem odbić na inną uczelnię".

Kim jest Jerzy Kostka i jakie pełnił w instytucie funkcje, autorka nie podaje; domyślać się więc mogę, że był tam kimś ważnym, może nawet dyrektorem. Czytelnik nie zorientowany uważać może, że rozmówca pani Violetty był kimś podrzędnym, a teraz z oddalenia dzieli się swoimi spostrzeżeniami. Tak czy inaczej przestrzegałbym przed wiarygodnością podobnych opinii, jako że byli pracownicy nie nawykli wyrażać się ciepło o porzuconej przez siebie instytucji. Wróćmy jednak do tematu.

Dyrektor Sławomir Mieleszko (czytamy w artykule) powiedział: „Nie ukrywam, że będziemy parli dalej poprzez rozwój kadry do powstania wydziału". Jak rozumieć ten rozwój kadry? — zastanawia się autorka i ma już gotową odpowiedź Jerzego Kostki: „To muszą być artyści z prawdziwego zdarzenia, renomowani artyści. Mało tego: oni muszą mieć dar nauczania, bo poziom kształtuje kadra. Bardzo mądrzy ludzie i wielcy artyści. Z tego dopiero mogą być efekty".

Po tej tyradzie aż przetarłem czoło. Co to są artyści „z prawdziwego zdarzenia", nie pojmuję, może to zwrot potoczny? — Bardzo mądrzy ludzie i wielcy artyści? — Czy coś takiego natura jednoczy? Wątpię. Praktyka wskazuje, że wielcy artyści (jest to pojęcie umowne) z reguły byli miernymi pedagogami, co nie oznacza, że z ich usług korzystać nie należy [...] Miałem zaszczyt być studentem Tadeusza Brzozowskiego, niewątpliwie najwybitniejszego malarza współczesnego. Otóż uroczy Tadzio nie udzielał żadnych korekt, nie zajmował się studentami w ogóle, po prostu był i to nam wystarczyło.

„Kogo więc kształci Instytut Wychowania Artystycznego? Artystów czy nauczycieli?" — czytamy. Jerzy Kostka stwierdził: „Oni chcą tak bardzo być artystami, że pieniądze przeznaczone na kształcenie pedagogiczne są pieniędzmi wyrzuconymi w błoto". „I poniekąd ma rację" — przyznaje autorka.

Jaka szkoda, że Jerzy Kostka w swojej powściągliwości nie podaje, w które błoto wrzucają te pieniądze, bo pomimo spirali inflacyjnej poszedłbym z workiem, by te pieniądze pozbierać.

W poprzednim numerze „Relacji" Jerzy Kostka oceniał wydarzenia plastyczne w ubiegłym roku i do rzeczy najgorszych zaliczył wystawę grafiki laureatki „grafiki roku" Barbary Baldygi, przyznając się przy okazji, że sam jest artystą grafikiem. Skoro tak, to dziwię się, dlaczego jako pracownik IWA nie dźwignął z mielizn tego instytutu, tylko odszedł, zostawiając zrozpaczoną młodzież artystyczną, a teraz udziela im rad? [...]

Zadziwiające: Instytut Wychowania Artystycznego z profesorami, docentami nie wie, jak kształcić młodzież, a tu nagle dwoje z zewnątrz wie wszystko. Może by tak w ramach reformy zrobić totalną zamianę?

Tu muszę wyznać, że nie jestem byłym, obecnym ani starającym się o etat pracownikiem IWA, natomiast przyznaję w pokorze, zajmuję się twórczością (plastyczną też) i z tej to przyczyny wszystko, co tej twórczości dotyczy, leży mi na sercu. [...]

Marian Makarski
Lublin

TO DOBRZE, ŻE W POLSCE SĄ JESZCZE „WARIACI"

POMNIK

Izabella Wlazłowska

SPRAWA ta dotyczy niejako i mnie. Jedna z wielu, w które angażowałam się jako dziennikarz, również jedna z wielu, w których będąc reprezentantką interesów społecznych, poniosłam porażkę. Społeczeństwo również. Teraz, kiedy patrzę na nią z perspektywy dziewięciu lat, ówczesna porażka jawi się jeszcze wyraźniej. Wymiar jej olbrzymieje, kiedy widzę dookoła, jak wiele pożytecznych rzeczy udało się przez ten czas zrobić innym. Jak uparcie dążąc do celu, przełamywali wszelkie niemożności, znaczone pogardliwym: „Polska wschodnia" lub „Polska B".

Przywołuję z pamięci moją bezsilność (niestety) w stosunku do ówczesnych władz województwa zamojskiego. To ich bierność, opieszałość, niechęć wykorzystywania sprzyjającej sytuacji, ba, asekuranctwo i karność w stosunku do „Warszawy" spowodowały „utrupienie" jednej z najładniejszych idei, jakie zrodziła Zamojszczyzna.

Miejsce akcji

Miejscowość położona w malowniczej kotlinie rzeki Wieprz, na Roztoczu Środkowym, w otoczeniu lasów sosnowo-jodłowych i bukowych, z doskonale zachowaną, o unikalnej wartości, bogatą roślinnością, w otoczeniu stawów i innych zbiorników wodnych. Niezaprzeczalne walory klimatyczne z „jonizującymi" piaskami, wodami mineralnymi i źródłami solankowymi, a przy tym doskonałe położenie, predestynują miejscowość do pełnienia roli ośrodka zdrowotno-rekreacyjnego i turystycznego.

Walory zdrowotne powietrza i wody doceniła już Marysieńka Sobieska, kiedy przeszła tu pomyślną kurację. Ozdrowieńcze właściwości klimatu dostrzegł również Alfred Rosse, kiedy otworzył tu w 1884 roku pierwsze w kraju sanatorium przeciwgruźlicze, do którego zjeżdżali również, cierpiący na gruźlicę i schorzenia dróg oddechowych, pacjenci z Francji, Niemiec i Węgier.

W okresie międzywojennym istniał tutaj zakład leczniczy Michaliny Mościckiej. Jego popularność sprawiła, że rozpoczęto budowę państwowej nowoczesnej lecznicy przeciwgruźliczej. Druga wojna światowa obróciła budowę w rumowisko. W 1957 roku otworzono tu w XVII-wiecznym pałacu Leszczyńskich sanatorium rehabilitacyjne dla dzieci. Obiekt ten jest obecnie zdekapitalizowany i nie może pomieścić wszystkich dzieci wymagających leczenia i rekonwalescencji.

Krasnobród.

Trochę historii

Opowiadali mi miejscowi społecznicy, że jak pamięć ich sięga, zawsze chcieli mieć w Krasnobrodzie sanatorium dla dzieci. Ale takie z prawdziwego zdarzenia, a nie żadne tam łatanie dziur w starym pałacu Leszczyńskich. Więc kiedy Zamość został miastem wojewódzkim i władza przybliżyła się do nich na odległość 27 kilometrów, postanowili zacząć władzę tę nękać.

W tym czasie cała Polska słała społeczne datki na Centrum Zdrowia Dziecka, które w Międzylesiu pod Warszawą rosło w oczach. No a gdyby tak jego filię wybudować w Krasnobrodzie? — marzyli. Upór chłopski znany jest, więc ściągnęli do Krasnobrodu kogo trzeba i już, już całą rzecz by zaklepali, gdyby...

W takiej dziurze budować filię Centrum Zdrowia Dziecka? — medytowano w Zamościu. Dzielono włos na czworo, aż wyszło czarno na białym, że jeżeli już budować filię to oczywiście w wojewódzkim mieście.

Był rok 1979. Podjęłam pracę w nowo powołanym „Tygodniku Zamojskim", który stał się gorącym orędownikiem idei budowania filii Pomnika-Szpitala CZDz imienia Dzieci Zamojszczyzny.

Akt pierwszy — entuzjastyczny

9 lutego 1980 r. Rada Ministrów podjęła uchwałę, w której zaleciła Społecznemu Komitetowi Budowy Szpitala — Centrum Zdrowia Dziecka, aby wybudował ze środków społecznych w latach 1981—84 pełnoprofilowy szpital dla dzieci w Zamościu.

Na uroczyste spotkanie do Warszawy zaproszona została delegacja z Zamościa. Przewodniczący Społecznego Komitetu, minister Janusz Wieczorek przypomniał zebranym gehennę wojenną zamojskich dzieci. „To dla uczczenia pamięci tylu dzieci — powiedział wtedy — rząd PRL wysunął postulat podjęcia idei budowy filii CZDz na Zamojskiej Ziemi".

Minister zdrowia i opieki społecznej, Marian Śliwiński przedstawił społeczne aspekty budowy placówki, która w zasadniczy sposób miała poprawić poziom opieki zdrowotnej nad dziećmi całego regionu południowo-wschodniego.

Były też łzy wzruszenia. Maria Perkowska — Dziecko Zamojszczyzny — jako pierwsza złożyła datek. Powiedziała: „Odejdą w niepamięć ostatnie żyjące jeszcze Dzieci Zamojszczyzny. A coraz to nowe pokolenia dzieci odzyskujące zdrowie będą kładły czerwony kwiat wdzięczności u stóp filii Pomnika Centrum Zdrowia Dziecka na Ziemi Zamojskiej. Przekazuję własną obrączkę i niech to będzie pierwszy dar na budowę CZDz na mojej ziemi".

Akt drugi — ...i ostatni

Tytuł krzyczał: „Zamość utracił filię Pomnika-Szpitala CZDz". 10 kwietnia 1981 roku napisałam: „W związku z Uchwałą Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Społecznego Komitetu Budowy Pomnika-Szpitala CZDz w sprawie budowy filii pomnika-szpitala poświęconej pamięci dzieci Zamojszczyzny oraz po zapoznaniu się z dodatkowo i szczegółowo uzasadnionym stanowiskiem ministra zdrowia i opieki społecznej oraz wojewody zamojskiego walne zgromadzenie członków komitetu postanowiło: zwrócić się do władz zamojskich, aby na terenie powstającego szpitala wojewódzkiego wybudowano pawilon pediatrii zamiast uprzedniej koncepcji wybudowania pełnoprofilowego szpitala dziecięcego jako filii CZDz".

Wiadomość ta zleciała na Zamojszczyznę jak grom z jasnego nieba ku zupełnemu zaskoczeniu i niezadowoleniu zamojskiej kadry lekarskiej, z którą nikt wcześniej na ten temat nie porozmawiał.

Na rozmowę z dyrektorem Pelą z departamentu inwestycji Ministerstwa Zdrowia i ministrem Januszem Wieczorkiem pojechałam razem z zamojskimi lekarzami najbardziej zaangażowanymi w tej sprawie.

Oto fragmenty zapisu magnetofonowego, które ostatecznie wyjaśniają całą sprawę:

Janusz Wieczorek: — Dwa elementy zadecydowały o zmianie filii na zespół pediatrii: element ekonomiczny i organizacyjny. Minister zdrowia stoi na stanowisku, że pełnoprofilowy szpital dla dzieci w Zamościu nie jest potrzebny. Bo przecież buduje się w Lublinie szpital pediatryczny, jest tam Akademia Medyczna i jest CZDz w Warszawie. Po uzgodnieniu z wojewodą zamojskim postawiliśmy sprawę na posiedzeniu Społecznego Komitetu, który zaakceptował zmianę decyzji.

Izabella Wlazłowska: — Kto konkretnie postawił ten wniosek?

J. Wieczorek: — Chodzi pani o nazwisko?

I. W.: — Tak.

J. Wieczorek: — Jestem przecież przewodniczącym Społecznego Komitetu.

I. W.: — Ponad rok temu tenże sam Społeczny Komitet podjął uchwałę o budowie filii CZDz w Zamościu, opierając się o zdanie tegoż samego wojewody i innego co prawda ministra zdrowia. 9 lutego ubiegłego roku Rada Ministrów podjęła uchwałę, w której zaleciła wybudowanie filii w latach 1981—84.

J. Wieczorek: — Ale teraz obowiązującą jest uchwała Rady Ministrów z 12 marca br. A wracając do zespołu pediatrii. Społeczny Komitet przekazał na jego budowę 300 mln zł, ze swoich środków. To nawet byłoby trudne organizacyjnie, abyśmy z Warszawy mieli ciągle jeździć do Zamościa i nadzorować budowę filii.

Dyrektor Pela: — Sprawa została wywołana przez Społeczny Komitet. My jesteśmy jedynie inwestorem zastępczym.

I. W. — Nawet nie zapytano województwa, co o tym wszystkim sądzi.

Dyr. Pela: — O, przepraszam, ja sam osobiście rozmawiałem z wojewodą, nazwiska nie pamiętam, który zaakceptował sugestię Społecznego Komitetu, chociaż prezydent Zamościa był innego zdania.

Jest rok 1989. Szpital wojewódzki w Zamościu wciąż się jeszcze buduje i budować będzie. Szpital profilaktyczny w Lublinie wciąż się jeszcze buduje... itd.

Akt trzeci — nieprzewidziany, w którym „wariaci" dają znać o sobie

Trzeba być kompletnym wariatem, aby zdzierać buty na warszawskim bruku, jeżdżąc tam za własne pieniądze i wydeptywać ścieżki do różnych urzędów — zdanie to słyszeli już wielokrotnie, więc się do niego przyzwyczaili, a słowa „wariaci" nie traktują jako przytyku. Sami już nawet tak zaczęli o sobie mówić. Jedno jest pewne, że tym razem nie popuszczą i dopną swego, bo ich upór to upór polskiego chłopa.

Ta sesja Gminnej Rady Narodowej w 1985 roku była bardzo burzliwa. Nie sztuka przypominać sobie o Dzieciach Zamojszczyzny, okazjonalnie dwa razy do roku, na Dzień Dziecka i rocznicę wybuchu II wojny światowej — mówiono na sali. — Pamięć o pomordowanych, zakatowanych dzieciach ma być trwała. W formie pomnika, ale nie z granitowej bryły, lecz pomnika użytecznego. Podjęto uchwałę: w Krasnobrodzie będzie budowany Centralny Pomnik — Sanatorium Dzieci Zamojszczyzny. Wyznaczono teren pod budowę — dolinę św. Rocha.

W październiku 1985 r. powołany został Społeczny Komitet Budowy Sanatorium. Przewodniczącym został Kazimierz Mielnicki, sekretarzem — Wiktor Juszczak, a skarbnikiem — Władysław Nowosad. Członkowie komitetu przeprowadzili ogólnopolską zbiórkę pieniędzy, wydrukowane zostały cegiełki na sumę 100 mln zł. Od miejscowych rolników wykupiono 5 hektarów ziemi w dolinie św. Rocha, a dalsze 3 hektary powiększą niebawem ogólny stan posiadania. Po załatwieniu wskazania lokalizacyjnego podjęto rozmowy z projektantami Biura Projektów i Usług Technicznych Branży Uzdrowiskowej z Krakowa, którzy opracowują koncepcję architektoniczną sanatorium — na 300 łóżek z zapleczem gospodarczym, socjalnym i mieszkaniowym dla personelu. Z nadejściem wiosny rozpocznie się już uzbrajanie terenu pod przyszłe sanatorium, budowa dróg dojazdowych, podłączanie sieci wodnej i elektrycznej.

Dla mieszkańców Krasnobrodu budowa nowoczesnego sanatorium to perspektywa rozwoju miejscowości. To ich przyszłość. Powołano więc komitet budowy gazociągu, rozpoczęto też budowę dużej oczyszczalni ścieków.

W lutym tego roku byłam w przepięknie położonej dolinie św. Rocha. Spotkałam tam geologów. Badali podłoże, na którym ma być budowane sanatorium. Sanatorium dla chorych dzieci z całej Polski.

Ucieszyłam się bardzo i pomyślałam, że to dobrze, iż w Polsce są jeszcze „wariaci". A tym wszystkim, którzy podzielają moją radość, podaję konto, które przyjmie każdą kwotę, wypływającą ze zrozumienia: Bank Spółdzielczy w Krasnobrodzie nr 895000-231-138-3 BGŻ Oddział Wojewódzki Zamość.

DON KICHOT Z FIRLEJA

Wiesław Horabik

ZDON Kichotami zawsze były kłopoty. Obok politowania pofią bowiem rozbudzić coś takiego, co wyzwala gniew. Najgorzej, gdy celem ataku Don Kichota staje się władza. Jeszcze gorzej, gdy jest to władza lokalna. Tak nieszczęśliwie wpadł pan Kazimierz Mitura z Firleja. Ale jak to bywa z Don Kichotami, zasiał wokoło nie tyle chęć poprawy, ile opór i smutek.

Gdyby ktoś wątpił w czystość jego intencji, powinien zobaczyć, co pan Kazimierz posiada.

Posiada dom najpiękniejszy w całej gminie. Taki, że mógłby z powodzeniem zagrać w polskiej (a może nie tylko) wersji „Manhattanu". Ba, nie tylko sam dom, ale także cały przyległy folwark. Teren pięknie ogrodzony, podrównany; szeroki, kwiatowy ogród, staw z ławeczkami nad brzegiem, trawnik jak z Wembley. To, plus wytwórnię pustaków pan Kazimierz posiada. A czego nie ma? Krewnych, nadających się do objęcia władzy, gdyby odeszła ta, przeciw której przywdział zbroję. Czy może tu być wątpliwość co do motywacji? Wątpię: fałszywi Don Kichoci szukają nieodmiennie szmalu lub władzy. Prawda ta bardziej mnie przekonuje niż słowa pana Kazimierza: „Chcę coś zrobić dla tej społeczności, dla tego kraju. A odnowę trzeba zaczynać tu, na dole, bo tu najtrudniej".

Czy naczelnik Chudowolski z Firleja lepszy jest od naczelnika Iksińskiego z Koziej Wólki? Oto jest pytanie. „Ja tam nic do niego nie mam" — mówi kioskarka. „Ani ja" — dodaje rowerzysta. „Ani ja" — utrzymuje około 60 proc. gminnej populacji. Paradoks rozdmuchania firlejowskiej sprawy na całą Polskę jest oczywisty. Podzielam w tym względzie zdanie sekretarza gminy Józefa Mierzwińskiego. Z punktu widzenia interesów kraju konflikt to — z przeproszeniem P.T. Czytelników — gówniany. Ot, czegoś tam nie załatwiono, czegoś nie zrobiono. Wiadomo, jak to u nas. Brakuje tego, brakuje owego, brakuje wszystkiego. Norma. Ale norma, która bezpośrednio zainteresowanych potrafi zaboleć, ucisnąć, czasami pobudzić do buntu. Nie zmienia to wszakże faktu, że spośród tysięcy naczelników tysięcy polskich gmin, Adam Chudowolski trafił na Kazimierza Miturę i powędrował na łamy prasy i do okienka TV.

Naczelnik jest zmęczony. Wie, że przy tak skomasowanym ataku, z „Przeglądem Tygodniowym" i „Telexpressem" w szpicy, nie wygrałby nawet niejeden ministerialny boss. Nie ukrywa pretensji do mass-mediów. „Wszystko to dęte, nawet manipulowane — mówi. — »Panorama lubelska« sfilmowała niby nie skoszone do grudnia zboże. Mam tu jego garść. Niech pan spojrzy, to zwykła samosiejka. Pytam operatora: — Jak pan zrobił takie piękne zdjęcia, taki sznyt, że to tak pięknie wyglądało? A on mi na to: — Jak to? Przecież to mój zawód".

Naczelnik mówi jeszcze o innych sprawach, ale ich nie zapisuję. W tej aferze bowiem, zaraz po wyłożeniu pryncypiów, zaczyna się wytaczanie armat przeciw wróblom. Poplątali się adwersarze w drobiazgach, powpadali w łajno, rozdęli śmieszności. Zaalarmowali Radę Państwa, Radę Ministrów, Prokuraturę Generalną, MSW, komitety wojewódzkie, wojewodów. Rozesłali pisma, setki pism, że ta po pijanemu wypadła z milicyjnego żuka, ten bełkotał za prezydialnym stołem, ciotka owego podniosła spódnicę, wujek tamtego obsikał sobie spodnie. „Chłop żywemu nie przepuści". Zawiść, złośliwość, podjazdy.

— Dajcie mi konkrety, dowody! — irytuje się Andrzej Szpringer.

Dowodów jest mało, bo to wszystko w obszarze „sitwy", „mafii". Zarzuty: pijaństwo, korupcja, niegospodarność. Jak można udowodnić te pomówienia? Kto w Rzeczypospolitej nie kocha siwuchy? Kto nie skubnie, jeśli w sklepie zabraknie? Rzućcie kamieniem, którzyście niewinni. Ale w obszarze firlejowskiej władzy jest coś naprawdę nie tak.

„W odpowiedzi na skargę złożoną w tutejszym Urzędzie Spraw Wewnętrznych informuję, że przeprowadzone postępowanie wyjaśniające potwierdziło zasadność zarzutów w niej zawartych. Jednocześnie nadmieniam, że akta tego postępowania przekazano Prokuraturze Rejonowej w Lubartowie, celem wszczęcia i przeprowadzenia postępowania przygotowawczego z art. 44 ustawy z dnia 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi w stosunku do prezesa GS w Firleju". Oto treść pisma z dnia 6 stycznia 1989 roku. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie, sygnatura AC-S-244-88. To już dowód, to fakt.

Zaatakowani wprost firlejowscy prominenci zaraz się gubią, łamią w świętym oburzeniu, słabną w klarowności argumentów.

A niegospodarność? Właśnie. Tu, panie naczelniku, musimy się rozstać. Złote bo to jabłko ten Firlej. Piękne jezioro i pachnący las. Czego tu nie mogłoby być? Nawet „zielone" mogłyby płynąć nieprzerwanym strumieniem. Kafejki nad wodą, kolorowe domki, dancing pod rzęsistym światłem, regaty wioślarskie i szum dyskotekowy; parkingi, snack-bary i pachnące bułeczki. Barwność, porządek, czystość i gościnność. A co jest? Szaletu nawet nie ma, jezioro cmentarz podmywa, że przy nurkowaniu zdarza się objąć wpół nieboszczyka, nocne ryki i burdy, zapijaczony bałagan, groźne pomrukiwania żuli. Wszyscy, którzy od lat tu przyjeżdżają z Lublina i skądinąd, potwierdzą te słowa. Powie pan, że tak jest wszędzie? Ale to żadna obrona.

Naczelnik Suchowolski długo się waha, gdy ma wymienić sukcesy. Niewiele tego jest, ot tak, byle na potrzeby tego kraju. Odrestaurowany Urząd Gminy, trochę nowych dróg, szalet w budowie.

Etykietki, które poprzypinali sobie walczący, to furda, to najprawdziwszy bluff. Wiadomo, że łatwiej w grupie, że raźniej, gdy czuje się za plecami instytucję. I tak konflikt: Mitura kontra lokalni patrycjusze rozdmuchano w spór międzypartyjny. W atmosferze gorączki przy okrągłym stole brzmi to nawet dobrze, PZPR kontra ZSL. Wabi żurnalistów i podgrzewa emocje. Prezes GK ZSL, Cichosz stoi na uboczu, dziennikarzy ma po dziurki w nosie. Sam przeżył w Firleju niejedno. Ale to już przeszłość. Zapomniana karta. Echo, które odżywa wbrew chęciom. On i inspektor, który z nim wojował, są już na rencie. Wtedy poszło o wszystko: o dyplom na KUL-u, udział w nabożeństwach, autorytet u dorosłych i młodzieży. Takie to były czasy. Przyjeżdżały komisje, badały stan kurnika, liczyły żonine futra w szafie, miast willi — jak w donosie — znajdowały skromny, trzypokojowy domek. Nie warto nawet wspominać.

To dziw, że w Firleju nic nie drgnęło na początku lat osiemdziesiątych. Nie dlatego, by ludzie byli tu specjalnie kłótliwi, ale dlatego, że wówczas wyprano publicznie wiele brudów. Zabrakło jednak Mitury. Bomba wybuchła, kiedy pan Kazimierz wybrany został radnym. Mówi, że wtedy właśnie poczuł iskrę bożą. „Wraz z okrągłym stołem uwierzyłem w odnowę. Nadszedł czas, by zacząć zmieniać coś naprawdę". Pierwszy raz „wygarnął" na spotkaniu z posłem Benderem.

Na radnego zaproponował go cech. Kłopoty zaczęły się już na starcie. Dopiero po kilku interwencjach umieszczono jego nazwisko na liście. Kiedy go wybrano, stwierdził: „Nie będę nic obiecywał. Tylko jedno: rozbiję tę »sitwę«. Rośnie sobie bowiem tutaj w Firleju mały perzyk, ale jak się go zacznie ciągnąć, od razu widać, jak szeroko rozrosły się korzenie". Czy starczyłoby tu materiału na telewizyjną „Ośmiornicę"? Wątpię, ale tak owocuje czasami sytuacja, gdy władzę przywozi się w teczce.

W sprawie firlejowskiej duszy zaglądam na plebanię. Ksiądz proboszcz mówi, że cały zatarg należy wpisać w sytuację ogólną i ja się z nim zgadzam. „Jeśli wszystkiego brakuje, ktoś pójdzie do naczelnika i dostanie odmowę (a skąd ma brać on sam?) — już niezadowolenie gotowe, już rozniesie się po wsi, już przetasuje ludzi. W małych społecznościach silna jest zawiść, zazdrość, urazy. By rozwiązać te problemy, trzeba by zmienić ogólny klimat życia w kraju, trzeba by ruszyć do przodu cały wielki problem Polski. Ja nie angażuję się w te spory, nie bronię żadnej ze stron; jeśli miałbym cokolwiek w tej sprawie uczynić, to tylko apelować o pojednanie. To właściwa dla mnie rola. A dusza tej społeczności jest jak dusza innych polskich wsi i miasteczek. Trudno byłoby nazwać Firlej szczególnym miejscem na ziemi".

Przed kilku tygodniami na sesji Gminnej Rady Narodowej postawił naczelnik Chudowolski wniosek o votum zaufania. Dziś strona opozycyjna twierdzi, że poprzedziły go długotrwałe, wstępne manipulacje. Fakt pozostaje jednak faktem, że naczelnik wygrał tajne wybory. Niemal dwie trzecie głosów padło za podtrzymaniem dlań mandatu. W każdym, w pełni demokratycznie funkcjonującym społeczeństwie byłby to koniec sprawy. Wszyscy zakasaliby rękawy i wzięli się do roboty. „Opozycja" patrzyłaby władzy na ręce, władza wciąż pokazywałaby, że są czyste. Ale przecież my, Polacy, musimy się dopiero uczyć demokracji. Musimy się nawet uczyć, jak zorganizować takie głosowanie nad votum nieufności.

Do propozycji, aby przeprowadzić gminne referendum, każdy odnosi się nieufnie. Naczelnik wygrał wybory i dla niego sprawa jest zakończona, pan Kazimierz zaś utrzymuje, że to jeszcze nie pora. „Jeszcze ludzie są przestraszeni, boją się dać świadectwo prawdzie boją się o przydział ciągników, kosiarek, kredytów. Jeszcze nasza społeczność nie dojrzała do referendum. Kiedy już się przebudzą, uwierzą w same przemian, można będzie pomyśleć i o takim rozwiązaniu".

Kiedyś do Firleja także przyjeżdżali dziennikarze. W latach 60. huczało w lokalnej i centralnej prasie o zdobyczach gminy w konkursie „Rozwój wiejskiej oświaty". Pozostały po tych sukcesach pożółkłe wycinki, zdjęcia roześmianej młodzieży, plakaty i dowody inicjatyw społecznych. Ktoś powie, że wtedy było łatwiej, bo panoszyła się radosna hucpa i nie wszystko jeszcze zdążono pomarnować. Oglądając wszakże album szkolny, mam inne wrażenie. Dosięga mnie, jakby odprysk melancholii, że coś bezpowrotnie załamało się w samych ludziach. Diabła tam gospodarka, ciężkie walce historii, rozbudzona czy uśpiona świadomość zbiorowa, coś wszakże się popsuło u samego źródła. W tym konkretnym kontekście podzielam sarkazm naczelnika Chudowolskiego:

— O co tu walczyć? O władzę naczelnika? Czym tu rządzić? Jaką ja mam władzę? Ja mam kodeks powinności. Każą mi dzielić traktory, a one powinny stać gotowe do sprzedaży w „Agromecie", każą mi rozdawać materiały budowlane, a powinno ich być pod dostatkiem. W tym kraju pomieszały się kwestie zwykłych kompetencji. Naczelnik musi być handlowcem, poborcą podatkowym, może jeszcze listonoszem? Gdyby oni usiedli na moim miejscu, życzyłbym im jak najlepiej. Już niedługo nominacja na naczelnika będzie zsyłką na katorgę.

I na koniec dodaje:

— Ja muszę być niepopularny, a mimo to jestem przez większość mieszkańców przynajmniej t o l e r o w a n y.

Może w tej małości pragnień tkwi największa prawda o firlejowskim sporze?

W SPRAWIE POMNIKÓW

Nie ma co udawać: pomnik Bolesława Bieruta w Lublinie był dla mieszkańców tego miasta inwestycją od początku kontrowersyjną. Dla projektantów tego monumentu taką nie był, toteż go mamy. Mamy także wiele innych, kontrowersyjnych inwestycji. Kosztownych i niepotrzebnych, chybionych efektów gigantomanii, braku rachunku ekonomicznego.

Z pomnikami jest inaczej. Jeżeli już stoją, to jeść nie wołają. Te kilka ton spiżu więcej czy mniej, ubogiego kraju i tak nie zuboży. Straty w chybionych pomnikach mierzy się w czymś innym.

Pomniki stawia się postaciom pomnikowym. Za ich życia lub po. Przeważnie po. Bolesław Bierut już za życia miał miliony pomników. Były nim jego portrety. Wszędzie. Towarzyszyły mojemu dzieciństwu i latom gimnazjalnym. Ile ja się ich, tych portretów, odźwigałem w pochodach majowych! Obok portretów Rokossowskiego, Stalina, Lenina i Marksa.

Jak na mój gust, w latach siedemdziesiątych można było na tym poprzestać. Nie poprzestano. Portrety zamieniono w spiż.

Gdy przyjechałem do Lublina na studia w 1958 roku, już nie widziałem Bieruta na ścianach sal wykładowych UMCS, a także w pochodach majowych. Powoli zaczynałem zapominać tę spokojną, zwyczajną twarz powiatowego, a może tylko gminnego referenta, trochę nieodgadnioną twarz w średnim wieku, z angielskim wąsikiem. Po latach przypomniano mi ją nachalnie wielkim spiżowym monumentem przy głównej magistrali w centrum miasta. Nikt mnie nie pytał, czy nadal chcę widzieć tę twarz człowieka bez twarzy, bez dzieciństwa, bez cech szczególnych...

Do 1955 roku był postacią o okrutnej bezlitosnej charyzmie, która kosztowała ten umęczony naród kilka tysięcy wspaniałych ludzi, jakich nie zdążył zniszczyć nazizm hitlerowski, pola walki i obozy koncentracyjne, a także stalinizm i jego łagry. Szef Kedywu AK, gen. Fieldorf — „Nil", aresztowany po wojnie, szczęśliwie powrócił z zesłania do kraju, ale tu, na dwa lata przed „odwilżą", został zamordowany strzałem w tym głowy w piwnicach warszawskiego więzienia. „Wilk", dowódca Okręgu AK na Wileńszczyźnie, także wrócił z łagrów, ale w polskim więzieniu uduszono go podczas przymusowego karmienia w czasie jego głodówki protestacyjnej. Gdzie ich pomniki? Przez lata nawet nie udawało się ustalić ich mogił.

Przechodzę obojętnie obok pomników niektórych postaci, na przykład obok pomników Karola Świerczewskiego. Ludzie z jego nacji chcieli mieć pomnikowego generała-bohatera, to mają. Ale pomnik człowieka, który przez dziesięć lat był synonimem bezprawia, skrytobójczych mordów politycznych, sfingowanych procesów, odrzucanych przez niego próśb o ułaskawienie, jednak obraża mnie osobiście i działa mi na nerwy, choć uważam się za człeka mało podatnego na nerwice społeczne i polityczne.

A co na to rodziny zamęczonych, rozstrzelanych, zniszczonych moralnie, fizycznie i psychicznie?

Już słyszę odpowiedź: a co na to wdowy i dzieci po poległych milicjantach i funkcjonariuszach UB?

Odpowiadam: czy generał Fieldorf, generał Kuropieska, gen. Kirchmayer, gen. „Tatar", „Wilk", płk Jasiński - „Nurt" oddali choć jeden strzał do milicjanta czy ubowca? [...].

W 1915 roku, wobec zbliżania się ofensywy niemieckiej do Wilna, Rosjanie pieczołowicie zdemontowali pomnik Murawiewa-Wieszatiela i zabrali go sobie precz. Każdy naród szanuje swoje pomniki. I słusznie.

Hen Spider

ABY ZAMKNIĘTA BYŁA MOŻLIWOŚĆ NAWROTU DO TAMTYCH LAT I TAMTYCH SYTUACJI

„MYŚLELIŚMY O TYM, CO BĘDZIE ZA 50 LAT"

Rozmowa z Ryszardem Reiffem, przewodniczącym Związku Sybiraków

— Jesienią 1944 roku otrzymał pan rozkaz wyjazdu na kresy, aby ratować oficerów i żołnierzy AK zagrożonych aresztowaniem. Miał pan, po prostu, zorganizować ich przerzut na stronę polską. Jednakże przeszkodzili w tym panu Rosjanie, został pan aresztowany już w Białymstoku, a pierwszym etapem pańskiej zsyłki był Ostaszków. Aż nie chce się dzisiaj wierzyć, że na obszarze suwerennego — jak zapewniano — działania polskiej władzy państwowej funkcjonariusze obcego mocarstwa mogli aresztować i wywozić obywateli Polski i że żadna władza polska nie śmiała się o nich upomnieć.

— Tak było i nikt temu nie zaprzeczy. NKWD łapało i wywoziło w głąb Rosji Polaków jeszcze przez wiele lat, kiedy, wydawałoby się, komuniści mieli już pełną władzę i nikt im nie zagrażał. Np. zgłosił się do naszego związku człowiek, który spotykał za Uralem obywateli polskich wywiezionych z kraju w roku 1953!

— O ile mogę jeszcze uwierzyć, że w roku 1944 czy 1945 można było wywozić z kraju Polaków bez wiedzy i zgody polskich władz, o tyle nikt mnie nie przekona, że było to możliwe w roku 1953, gdy rodzimy aparat bezpieczeństwa kontrolował już wszystko. Wywożenie musiało zatem odbywać się za wiedzą i zgodą warszawskiego rządu.

— Jestem przekonany, że tak. W każdym razie nie natknąłem się na dokumenty czy relacje świadków, mówiące, że władze podejmowały jakiekolwiek protesty i przeciwdziałania tym praktykom.

— A czy pańska rodzina interweniowała u Polaków bądź Rosjan, aby został pan uwolniony?

— To była inna sytuacja. Zostałem złapany jako Zdzisław Stawski i robiłem wszystko, by mnie nie zdekonspirowano. Gdyby Rosjanie dowiedzieli się, że wykonuję tajną misję wojskową, skazano by mnie na 25 lat zsyłki na Sybir.

— A więc najpierw był Ostaszków. Ten Ostaszków, którego dzieje tak tragicznie wiążą się ze zbrodnią w Katyniu i niewyjaśnionym do dzisiaj losem dalszych dziesięciu tysięcy oficerów polskich, internowanych przez Rosjan po 17 września 1939 roku. Czy pan wiedział wtedy, w listopadzie 1944, że to jest t e n Ostaszków?

— Nie, nie wiedziałem.

— Ale wiedział pan przecież o zbrodni dokonanej w Katyniu...

— To jest oczywiste, wszyscy wiedzieliśmy. Ale kiedy mówimy o Ostaszkowie, musi pan wiedzieć, że to jest cały kompleks łagrów rozrzuconych na ogromnym obszarze. Ten, w którym przebywali nasi oficerowie, tak strasznie później zamordowani, znajdował się na jakiejś wyspie. Ja nie widziałem tego obozu, ale później, w głębi Rosji, spotkałem Polaków, którzy siedzieli w tych samych barakach, z których wzięto na rozstrzelanie naszych oficerów. Skąd wiadomo, że to były te same baraki? Po prostu przypadkowo oderwała się deska od podłogi i w tej przestrzeni między deskami a ziemią odkryto nieprzebrane ilości czapek polskich oficerów, kolejarzy, leśniczych i straży granicznej. To było coś, co oni zostawili jako symbol swojego pobytu w tym miejscu.

— To by się zgadzało z tym, co widział w Katyniu Józef Mackiewicz, a co opisał w artykule „Dymy nad Katyniem", zamieszczonym w emigracyjnym czasopiśmie „Lwów i Wilno" z roku 1947, nr 10 i 11. Był on naocznym świadkiem odkopywania grobów katyńskich i zwrócił uwagę, że do pełnego umundurowania zastrzelonym oficerom brakuje właśnie czapek. Akurat mam pod ręką ten artykuł, więc zacytuję:

„Wróciłem znowu na krawędź grobu, skąd wciąż jeszcze wydobywano zwłoki.

— Jest panu niedobrze? — zapytał Szwed.

Potrząsnąłem głową i patrzyłem. Przede mną rozwarty dół, a w jego czeluści warstwami, ciasno, jak sardynki w puszce, trupy. Mundury, płaszcze, mundury polskie, guziki, buty, zwichrzone włosy na czaszkach, usta poniektórych wpółotwarte. Właśnie przestał mżyć deszczyk i blady promień słońca jął się przepychać poprzez koronę sosny. — »Tiń — tiń — tiń« — zawołał ucieszony ptaszek. — A promień padł w grób i na sekundę błysnął na złotym zębie otwartych ust jakiegoś trupa. — Nie wybili mu jednak... — »Tiń — tiń — tiń!« — Straszne. Ręce i nogi nawzajem splecione, wszystko uciśnięte jak walcem. Pozarzale, martwe, szereg za szeregiem, setka za setką, niewinni, bezbronni żołnierze. Krzyż Virtuti Militari widać na samym przodzie. Głowa odwalona pod but kolegi. Tamten leży twarzą w dół. Ten jeszcze w czapce. W y j ą t e k. [...]"

A więc relacje świadków są zgodne i można na ich podstawie zrekonstruować przebieg wypadków... Co dalej było z panem?

— Przeszedłem ciężkie śledztwo, udało mi się zachować — mówiąc eleganckim, dziewiętnastowiecznym językiem — incognito, mimo tego, że ten drugi obóz, w Diagiliewie pod Riazaniem, był tzw. specłagrem, w którym było masę oficerów i ludzi o życiorysach do końca nie wyjaśnionych. Mój był wprawdzie bezbłędny, spójny i trzymał się kupy, to jednak nie do końca pasowałem im do tego życiorysu. W tym obozie była bardzo rozbudowana sieć wewnętrznej inwigilacji. Ale mieliśmy też w obozie komórkę kontrwywiadu, do której udało mi się skierować kogoś, kto oddał mi wielkie usługi, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Wiedziałem więc, co się dzieje, jakie są plany komendantury łagru, i kiedy otrzymałem absolutnie pewny sygnał, że pracują nad moim zdekonspirowaniem — podjąłem ucieczkę, do której zresztą szykowałem się od początku swojej zsyłki na Wschód. W listopadzie 1946 roku byłem już w Warszawie.

— Ciekawe byłoby zatem prześledzenie tego narastania w panu wiedzy i doświadczenia o systemie. Ciekawe tym bardziej, że przecież po ucieczce z łagru i powrocie do Polski podjął pan niemal od razu działalność polityczną w strukturach — powiedzmy — oficjalnych czy koncesjonowanych przez komunistów, a więc uważanych, mówiąc językiem dzisiejszym, za proreżimowe. Pan, który stał przed plutonem egzekucyjnym czerwonoarmiejców, przeszedł przez piwnice NKWD i baraki łagrów?

— Jeżeli pana interesuje nasz punkt widzenia, to on się opierał na jednej, podstawowej tezie: obrony biologicznej narodu jako sprawy najważniejszej w układaniu stosunków z rzeczywistością, która zapanowała. Dotyczyło to tego, że — właśnie — brak złudzeń co do natury systemu powodował, iż nie należało liczyć, że w trybie protestu moralnego czy protestu zbrojnego cokolwiek się osiągnie. Ja należałem do formacji, która również nie orientowała się na Mikołajczyka, uważając, że prowadzi on politykę na krótką metę.

— Co się bardzo szybko sprawdziło...

— Tak, jego teza opozycyjna była sformułowana na bardzo krótką metę. Myśmy, to znaczy „Dziś i Jutro" (późniejszy PAX), okopali się na znacznie głębszych pozycjach. Uważaliśmy, że chwilowo żadna wojna domowa nie pomoże sprawie polskiej. A po sześciu milionach ludzi zabitych przez Niemców oraz dwóch milionach represjonowanych na Wschodzie, z których przynajmniej milion nie wrócił już nigdy do kraju, należy zaniechać zbrojnego oporu, ponieważ pogłębi on straty biologiczne, które przyczynią się do dalszego obezwładnienia narodu. Przecież wywożenie nas na Wschód w latach 1944—1953 miało inny cel, niż wywożenie Polaków w 1939, 1940 i 1941. Wtedy miało wyraźny charakter eksterminacyjny, po prostu wówczas państwo polskie było skreślone z mapy świata, niektórym wydawało się, że już po wsze czasy, a zatem z tym narodem można się już nie liczyć. Natomiast tym razem, w latach 1944—53, chodziło o to, żeby zachować potencjał polski i utrzymać w służbie celów globalizmu radzieckiego i jego ekspansji rewolucyjnej. Ale osłabić opór wobec komunizmu przez wywózkę ludzi, posiadających jakikolwiek status społeczny, zawodowy, intelektualny, oficerski i moralny. A również z ludzi młodych, którzy stanowili poważny ładunek energii biologicznej i społecznej. Była więc to polityka długodystansowa, od tamtych wywózek „pociągami śmierci", kiedy ludzie marli tysiącami z głodu, mrozu, ze wszystkiego. Wzdłuż torów wyrzucano zwłoki...

— To chyba Wittlin napisał w jednym z wierszy o „zamarzniętych dzieciach wyrzucanych jak drwa z wagonów".

— Kiedy wywożono nas w 1944 roku było więc już inne podejście. Wiadomo było, że państwo polskie będzie istnieć, choć pod kontrolą stalinowską. I aby tę kontrolę rozciągnąć na wszelkie przejawy życia i umocnić nową władzę należało wywieźć wszystkie elementy, które mogłyby utrudniać tej władzy okrzepnięcie. Stąd rozbrajano i wywożono Armię Krajową w pierwszym rzędzie, ale również zagarniano wszystkich, których złapano po drodze, przy okazji, a w pierwszym rzędzie inteligencję. To był wtedy, po roku 1944, ten typ wywózki i ten typ postępowania, bardzo wyraźnie ustalony.

— A jednak naród ponosił również duże koszty społeczne. Wywożono przecież element najlepszy.

— Ale nie była to już jednak degradacja biologiczna narodu. Oczywiście, walka zbrojna do takiej sytuacji musiałaby doprowadzić. Dlatego musiała zwyciężyć myśl polityczna, tłumacząca beznadziejność walki, po desperacku, do końca. My przyjęliśmy tezę, że zagłębiamy się na długie dziesiątki lat w takim statusie, jaki wyznacza nam państwo radzieckie pod przewodnictwem Stalina. To jest bardzo długi czas, nie zmieni tego stanu rzeczy ani doraźna opozycja, ani tym bardziej walka zbrojna. Taka walka natomiast ułatwiłaby działania, które osłabiały potencjał biologiczny kraju.

— Prawdę mówiąc, nie mogę uwierzyć, że ktoś uprawia politykę w oparciu o prognozę najbliższych czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Politykę robi się zawsze na wiele krótszą metę, tymczasem pan chce mnie przekonać, że wy — wiedzieliście, ba! — byliście pewni, iż przez najbliższe dziesięciolecia układ geopolityczny zrodzony w Jałcie będzie trwały.

— Ma pan rację, coś takiego zdarza się w polityce niezmiernie rzadko, ale jednak taka właśnie teza, że ten układ trwać będzie co najmniej pięćdziesiąt lat, przyświecała nam, gdy przystępowaliśmy do wydawania dziennika i rozstawaliśmy się z naszymi dowódcami z Armii Krajowej. Prowadziliśmy bardzo dramatyczne rozmowy z naszymi dowódcami z AK, starszymi od nas stopniem i wiekiem, między innymi z „Radosławem". Dotyczyły one właśnie różnic nie w ocenie sytuacji bieżącej, ale prognozy, jak długo ten stan potrwa. Kto oceniał go na kilka lat, trwał w konspiracji. Kto na dłużej — musiał znaleźć swoje miejsce w życiu legalnym. Kogo nie zmógł pesymizm, ten podejmował walkę polityczną, by wpłynąć na zmianę systemu, czy tylko jego złagodzenie.

Wracając do tamtych naszych rozmów z roku 1944 i 1945, trzeba pamiętać, że Stany Zjednoczone miały wówczas jeszcze monopol atomowy i powszechnie uważało się, że trzeba przetrwać w totalnej negacji czy konspiracji jeszcze tych parę lat, aby doczekać nowej wojny światowej przeciwko ZSRR. Mówiło się, że działając zbrojnie na zapleczu frontu, doczekamy zwycięstwa jako sprzymierzeńcy Amerykanów i będziemy mieli te wszystkie korzyści, jakie daje udział w obozie zwycięzców. Dzisiaj to brzmi fantastycznie, ale wtedy tak ludzie myśleli.

— Wasz obóz w to nie wierzył?

— Myśmy odpowiadali na to tak: jeżeli wojna wybuchnie przed upływem pięciu lat, to wy macie rację. Jeżeli natomiast nie wybuchnie, to w sytuacji Polski należy wykorzystać te pięć lat na to, aby podnosić miasta z gruzów, uruchamiać fabryki, udrożniać linie komunikacyjne, kopać surowce i odnawiać całe życie.

— A oni co na to?

— Oni powiedzieli: dobrze, ale to jest całkowita fantazja zakładać, że w ciągu pięciu lat ta wojna nie wybuchnie. Mówił o tym niedawno Stefan Kisielewski w wywiadzie udzielonym Markowi Łatyńskiemu. Otóż powiedział on, że rzeczywiście usłyszał od nas, że my obliczamy ten stan bezruchu i bezwarunkowej dominacji ZSRR w Europie Wschodniej na pięćdziesiąt lat. A jak się bierze oddech, aby na pięćdziesiąt lat dać nurka, to trzeba opierać się na tezie, która te 50 lat wytrzyma.

Rozumiał to znakomicie Kościół, przyjmując rolę azylu dla narodu [...].

Po drugie, trzeba było znaleźć formułę demokratyzacji, której marksiści nie mogli odrzucić jako zamachu na

---

LISTY-POLEMIKI

„POLESIA CZAR..."

Korzystając z okresu burzy i naporu, jaki ogarnia polskie społeczeństwo, te jego odłamy, które rozmawiają przy okrągłych stołach, i te, które konsumują przy stołach suto zastawionych, chciałbym poruszyć problem, który wiąże się ze wszystkimi(?) stołami Polski.

Po drugiej wojnie światowej (stalinizm?!) cenzura okaleczyła polską Epopeję Narodową — „Pana Tadeusza". W Epilogu usunięto fragment:

„A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,
Że był w błyszczącym i pięknym mundurze.
Bo węża — tylko znaliśmy po skórze".

Cytat powyższy pochodzi z wydanych przed wojną „Dzieł poetyckich" A. Mickiewicza, Nowogródek 1934, w opracowaniu Tadeusza Pini. W wydaniach powojennych, mimo iż starałem się dotrzeć do możliwie największej ich liczby, na wyżej wymieniony cytat nie natrafiłem. Sprawę ocenzurowania Epopei Narodowej pozostawiam bez komentarza.

Piszę do Was, gdyż po przeczytaniu ośmiu numerów tygodnika sądzę, że na tych łamach list mój ma szansę się ukazać. Do napisania skłonił mnie głównie 8. numer. Biorąc go do ręki, udałem się w „nieco sentymentalną" podróż z Mirosławem Haponiukiem w pełną czaru krainę Polesia. Urocza podróż nie zawsze ma jednak przyjemny finał. Otóż w pewnym momencie ze zdumieniem przeczytałem:

„Po chwili namysłu kobieta powiedziała:
— A u mienia polskaja familia. Mickiewicz.

Wtrąciłem się do rozmowy [wtrącił się pan podróżnik Mirosław Haponiuk]. Powiedziałem, że Mickiewicz jest nazwiskiem białoruskim [...]. Pochodzi od imienia Mićka". Tyle cytat.

Szanowny panie Haponiuk, nie wiem, ilu Białorusinów o imieniu Mićka spotkał pan w życiu, wiem zaś, że nazwisko Mickiewicz, podobnie jak Jaśkiewicz, Mazurkiewicz i Markiewicz, występo-

ich władzę. To nazywa się dzisiaj pluralizmem. Oczywiście nie było mowy o pluralizmie społecznym, czy tym bardziej politycznym. Myśmy mówili o prawie społeczeństwa do wielości światopoglądów. A jeżeli będą chociażby dwa różne i równouprawnione światopoglądy, to już nie ma komunizmu w jego monistycznej koncepcji stalinowskiej.

Przecież komunizm polega na zintegrowaniu wszystkich funkcji w jednym ośrodku. Stalinizm integruje wszak władzę polityczną, gospodarczą i duchową. Dlaczego stalinizm przywiązywał tak wielką wagę do wywłaszczenia Kościoła i pozbawienia go wpływów oraz do wywłaszczenia ludzi z wszelkiej własności, aby zlikwidować niezależność materialną ludzi i pozbawić ich oparcia duchowego. W Rosji udało się i jedno i drugie. U nas — nie udało się ani wywłaszczenie Kościoła, ani wywłaszczenie chłopów. Dlatego mamy jeszcze co jeść i gdzie się modlić. A w Związku Radzieckim rolnictwo jest dzisiaj wielkim problemem. Zachęca się kołchoźników, aby brali ziemię i kredyty na kupno maszyn, ale nie ma chętnych, gdyż przez 70 lat oduczono ludzi przedsiębiorczości: są tam urzędnicy i robotnicy rolni, nie ma natomiast rolników z prawdziwego zdarzenia i chłopów — gospodarzy w tradycyjnym znaczeniu.

Stąd mówi się dzisiaj, że ta cała droga jest bardzo bolesna [...]. Nie da się załatwić efektywnej gospodarki w oparciu o własność niczyją i biurokrację, czyli — klasę pasożytującą na siłach wytwórczych narodu.

To musiało doprowadzić do gigantycznego kryzysu. Albowiem czynnik społeczny musi, podkreślam: musi znaleźć odbicie w strukturach życia publicznego. To znaczy: muszą znaleźć się w strukturach życia publicznego ci ludzie, których obecne struktury nie reprezentują. A to jest cała paleta różnych stanowisk, opozycyjnych, niezależnych od władzy czy wobec władzy krytycznych, mniej czy bardziej konstruktywnych. One nie są dzisiaj reprezentowane w życiu politycznym, skąd bierze się ich opozycyjność.

Oczywiście potrzebny jest w tej mierze umiar. Ani jedni nie mogą dłużej myśleć, że można kogoś nie dopuścić, że można mu nie dać, zabronić itd., tak i ci drudzy, z opozycji, nie mogą myśleć, że należy im się wszystko. Przy takim sposobie myślenia nie ma żadnego wyjścia z sytuacji i realizuje się w dalszym ciągu program, który ktoś w jak najbardziej złych zamiarach mógłby dla Polski zaplanować. Polacy skłóceni w imię dochodzenia partykularnych racji, a nie racji wspólnych w imię lepszej przyszłości i wyjścia z kryzysu — to wykonywanie programu naszych wrogów, tych którzy nam źle życzą.

W naszym przypadku było tak, że wtedy, w latach 40. i 50., trzeba było szukać, powiedzmy, kodu zastępczego. I tym kodem zastępczym było hasło demokracji filozoficznej, w którym to haśle mieści się wszystko. To było jednak hasło przetrwalnikowe, zastępcze. Zastępcze, bo nie można było wprost formułować postulatu niepodległości i demokracji, a więc suwerenności zewnętrznej narodu i suwerenności wewnętrznej społeczeństwa.

— A jednak, powtarzam, trudno mi uwierzyć, że można w kraju, na miejscu, realizować jakąś politykę z wyprzedzeniem na pięć dziesiątków lat. Co innego na emigracji, tam czas posiada jakby inny wymiar i ludzi na wygnaniu rzeczywiście stać na żmudną robotę, długofalowe drążenie, wydawanie gazet, książek, agitowanie na całym świecie i przyjęcie postawy tego nieugiętego heroizmu i odmowy współpracy, jaką cechowała zawsze red. Jerzego Giedroycia, Herlinga-Grudzińskiego czy naszą generalicję. Kiedy rozmawialem trzy lata temu w Paryżu z Aleksandrem Jeleńskim, powiedział on był mniej więcej tak: ja już na pewno nie zdążę, ale pańskie pokolenie na pewno doczeka tego momentu [...]. Ale przyjęcie takiej postawy na emigracji jest proste, ponieważ trzeba jakoś uzasadnić swoje miejsce w świecie. Natomiast tutaj, w kraju, jak pan sam powiedział, trzeba było budować, podnosić Polskę ze zniszczeń, co wymagało nie tylko akceptacji nowego porządku, ale i współpracy z nową władzą. A to możliwe było tylko za cenę podporządkowania się totalitarnym regułom gry.

— Ma pan rację. Taką chłodną kalkulację polityczną w latach czterdziestych zawdzięczamy głównie Bolesławowi Piaseckiemu i jego najbliższym współpracownikom z czasów przedwojennych, których losy wojny rzuciły na Zachód i tam walczyli u boku armii alianckich. Przy okazji wchłonęli zasady pragmatyzmu w polityce i reguły zimnej kalkulacji, wolne od emocjonalnego zaangażowania. My po tej stronie pozostaliśmy bardziej romantykami.

— W roku 1982 przestał pan być członkiem Rady Państwa i przewodniczącym Stowarzyszenia PAX i były to pana ostatnie funkcje polityczne w PRL. Teraz jest pan prezesem Związku Sybiraków, porozmawiajmy więc może o sprawach, którymi żyje pan dzisiaj.

— Proszę bardzo.

— Zacznijmy od sprawy katyńskiej. Czym należy tłumaczyć, że wyjaśnienie tej zbrodni trwało tak długo, mimo że dowody znajdujące się w kraju i archiwach na Zachodzie są przecież wystarczające?

— Proszę pana, była to zbrodnia bez precedensu w dziejach nowożytnego świata .

Po drugie — to polityczny dylemat zerwania stosunków z rządem londyńskim w wyniku zarzutu, że sprzyja „propagandzie Goebbelsa" w sprawie Katynia [...]. Wymagałaby więc rehabilitacji teza, że rząd londyński uległ propagandzie niemieckiej, a zatem nie może już reprezentować narodu. To pociągnęło zerwanie stosunków dyplomatycznych ZSRR z Polską .

I powiedzmy rzecz do końca. Rząd w Londynie nie mógł wtedy, w roku 1943, postąpić inaczej i oświadczyć publicznie, że zgadza się z tezą sowiecką w sprawie Katynia, iż była to zbrodnia dokonana przez Niemców. Nie! Rząd Rzeczypospolitej Polskiej wobec tego, że stanowiska Niemców i Rosjan były rozbieżne, powinien uczynić to, co był uczynił, czyli domagać się, aby Czerwony Krzyż, jako międzynarodowa organizacja bezstronna, tę sprawę po prostu zbadał. Tak zachowałby się każdy suwerenny rząd, który dla względów taktycznych nie chciał i nie mógł poświęcić dochodzenia prawdy w tak zasadniczej sprawie. Anglicy namawiali cynicznie: martwych nie wskrzesicie, układajcie się z Rosjanami. Ale największy cynizm nie mógł przekreślić faktów. Wszystkie dokumenty w tej sprawie, jakie były wówczas dostępne, świadczyły, że teza kierownictwa stalinowskiego jest fałszywa.

— A jednak racje polityczne przemawiały za...

— Proszę pana! Racje polityczne były takie, że Polska i tak znalazłaby się tam, gdzie jest od czterdziestu pięciu lat. Natomiast rząd, który nie upomniałby się o swoich żołnierzy, zostałby uznany, wcześniej czy później, za wspólnika tej zbrodni.

[— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)].

— Ale sądzę, że jeśli chodzi o losy Polaków na terenie ZSRR po 17 września 1939 roku, to „białych plam" jest jeszcze mnóstwo. Czy Związek Sybiraków będzie się starał te „plamy" ujawnić i podać je do publicznej wiadomości?

— Trzeba bardzo wyraźnie powiedzieć, że będzie nam chodziło o zapis i udokumentowanie prawdy historycznej. To nie ulega wątpliwości. Ale trzeba także powiedzieć i to, że aby ten okres, nazywany umownie „minionym", był rzeczywiście i bezpowrotnie minionym, musi być zbudowany na zamkniętym rozdziale historii tego tragicznego okresu w życiu narodu.

I sprawa druga: nie chodzi, aby tę przeszłość odtwarzać w imię tworzenia nastrojów nienawiści czy wrogości. Wprost przeciwnie. Po to mianowicie, aby uczynić zaczyn nowej przyszłości, wolnej od brzemienia zbrodni. Aby zamknięta była możliwość nawrotu do tamtych lat i tamtych sytuacji. To doświadczenie historyczne trzeba przyswoić współczesnemu pokoleniu, aby już bez obciążeń mogło ono podjąć pracę nad stworzeniem dobrosąsiedzkich stosunków z narodem rosyjskim. Jeśli będzie cień kłamstwa, jeżeli będą mroczne kąty, do których światło prawdy nie ma wstępu, to nigdy te stosunki nie będą uczciwymi. Zawsze będą fasadowe, sztucznie tworzone, odpychające w istocie rzeczy, zakłamane.

I jeśli komuś zależy na dobrych stosunkach ze wschodnim sąsiadem, to mądrość nakazuje, aby następnych pokoleń nie obciążać tamtymi zbrodniami, po to, by następne pokolenia nie patrzyły przez pryzmat doświadczeń stalinowskich na naród rosyjski. Żeby te pokolenia widziały, że w równym stopniu co my ucierpieli Rosjanie i inne narody ZSRR. Przecież oni także byli przez stalinizm degradowani, najpierw biologicznie, potem cywilizacyjnie.

I tych wszystkich obciążeń my chcemy się pozbyć, chcemy razem z Rosjanami wspólnie iść w kierunku normalnej, zdrowej przyszłości, która zapewnia stabilizację materialnej egzystencji w warunkach wolności, która jest nie przywilejem, ale prawem każdego człowieka i każdego narodu. Takie są motywy podejmowania przez Związek Sybiraków tej wielkiej penetracji historycznej, jaką chcemy rozciągnąć na wszystkich ludzi, którzy byli w tamtych czasach represjonowani na całym obszarze dzisiejszego państwa radzieckiego.

— Czy związek stawia sobie także bardziej konkretne, przyziemne cele, jak — na przykład — pomoc w uzyskaniu rekompensaty za przeżyte cierpienia? .

— Widzi pan, kiedyś wszyscy ci ludzie, nazwijmy ich „sybirakami", cierpieli ten sam los, tę samą dolę. Wszyscy jechali w tym samym i takim samym wagonie, cierpieli ten sam głód i ten sam mróz. Później wszyscy mieli takie same kilkadziesiąt centymetrów gryczy, dziesięć godzin ciężkiej pracy i za to wszystko czterysta albo sześćset gramów chleba z wodą nazywaną kapuśniakiem. Po powrocie do kraju nastąpiło wśród tych ludzi naturalne zróżnicowanie. Jednym powodzi się dobrze, życie im się udało, inni cierpią wielką biedę. I tym ostatnim, starym, chorym i samotnym, chcielibyśmy pomóc, odwołując się do tamtej, dawnej solidarności i wspólnoty.

Druga rzecz to upominanie się u odpowiednich organów o przyznanie tym ludziom praw kombatanckich, wliczanie czasu katorgi do lat pracy uprawniających do emerytury, zrównanie inwalidztwa tam nabytego z inwalidztwem wojennym, czy wreszcie — uzyskanie jakichś funduszy z komitetów pomocy społecznej, miejsc w domach opieki czy domach starców, ułatwień w leczeniu, jakie mają kombatanci. To — oczywiście — zależy wyłącznie od władz naszego kraju.

[— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)].

— Jaki okres obejmują te roszczenia? Czy tylko lata wojny?

— Nie tylko, ponieważ jest wiele późniejszych spraw, które — chociaż udokumentowane — nie były nigdy podjęte. Ale okres od 17 września 1939 do 22 czerwca 1941 (czyli wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej) jest szczególnie dwuznaczny. Otóż przez przeszło półtora roku około półtoramilionowa masa ludności polskiej, wywiezionej z przedwojennych wschodnich terenów Polski i przesiedlonych w głąb ZSRR, była zmuszona do niewolniczej pracy. ZSRR był wówczas w sojuszu wojennym z Niemcami hitlerowskimi i pomagał im gospodarczo. Można więc powiedzieć, że Polacy wywiezieni do Związku Radzieckiego przyczyniali się do zwycięstwa Trzeciej Rzeszy. Bo wyprodukowane w toku niewolniczej pracy towary jechały na Zachód, do Niemiec. Jest to uwaga karkołomna, ale przecież ludzie mieszkający nad Bugiem pamiętają te pociągi jadące ze Wschodu na Zachód. Tak doszło do paradoksu, że praca polska służyła zwycięstwu Niemiec hitlerowskich!

To są rzeczy mało jeszcze u nas znane, ale fakty są takie: po podpisaniu w końcu sierpnia 1939 r. paktu Ribbentrop-Mołotow, który był w istocie sojuszem, Związek Radziecki zaopatrywał Rzeszę w ogromne ilości surowców, materiałów, żywności i paliw. Te transporty szły jeszcze w dniu rozpoczęcia przez Niemców wojny, ponieważ Stalin nie chciał uwierzyć, że Rzesza tę wojnę rozpoczęła naprawdę! A więc Polacy pracowali przez przeszło półtora roku na rzecz tej ogromnej machiny zaopatrującej Niemcy.

— Życzę z całego serca, aby to wszystko udało się wam załatwić i aby chociaż u końca życia ci doświadczeni przez los ludzie poczuli, że ktoś się o nich troszczy. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Andrzej W. Pawluczuk

---

wało często na Mazowszu oraz (tak! tak!) w Wielkopolsce. Nazwisko Mickiewicz jest, jak to pan Haponiuk w „zgrabnej polszczyźnie" ujmuje, „otczestwem" nie tylko, bądź niekoniecznie, Mićki, a również pochodną imienia Mieczysław — Mietek, Miećko, Mietko (podobnie Jaśko, Jasiek — Jaśkiewicz). Pierwotna forma Mitkiewic, Mickiewic, wraz z ogólnopolskim odchodzeniem od mazurzenia, przybrała formę Mitkewicz, Mickiewicz. Gdyby szanowny turysta wybrał się tym razem na Zachód, to może przejrzeć księgi parafialne np. w Środzie Wielkopolskiej. Tak więc sprawa nazwiska — czy polskie, czy nie — jest co najmniej dyskusyjna.

Podam jeszcze, że swego czasu (np. w roku 1940) działał na Litwie niejaki Rapolas Mackevičius. Będąc redaktorem [...], pisał, że zarówno jego nazwisko, jak i nazwisko Mickiewicz jest typowo polskie i należy je zlitewszczyć (ww. nie był, delikatnie mówiąc, entuzjastą Polski i Polaków). Sam zresztą dokonał swoistej ucieczki od polskości swego nazwiska. [...]

Mimo, że jest bezsensem dyskutowanie o narodowości jednego z największych Polaków (patrz — życie i twórczość), kilka myśli Wieszcza:

„Litwin i Mazur bracia są. [...] Nazwisko ich jedne jest, nazwisko Polaków" („Księgi Narodu...").

„O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie złożona... / Nie masz sił mówić o tobie!" (Epilog do „Pana Tadeusza").

W związku z tym, iż pierwsze słowa Inwokacji: „Litwo, ojczyzno moja", mogą coś (komuś?) sugerować, kolejny cytat: „Jedna już tylko kraina taka, / / W której jest trochę szczęścia dla Polaka, / Kraj lat dziecinnych". A więc Litwa, która i dzisiaj jest prócz Litwinów ojczyzną dla setek tysięcy Polaków, jak również Rosjan, Żydów, Karaimów... Mieszkający dzisiaj na Litwie Polacy, traktując Litwę jako swoją ojczyznę, trwają przy polskości, przy języku wielkiego Adama, przy mowie pradziadów. Proszę uwierzyć mi, że szczera, aczkolwiek pozbawiona wszelkiego nacjonalizmu, duma i radość ogarnia, kiedy od dzieci polskich w ich ojczystej Litwie na pytanie: „Kto ty jesteś?" — słyszy się: „Polak mały".

(Nazwisko i adres znane redakcji)

NASZ DOM, EUROPA

Rozmowa z prof. dr. Helmutem Wagnerem z Wydziału Nauk Politycznych Wolnego Uniwersytetu w Berlinie Zachodnim

— Żyjemy w ciekawych czasach. Tak brzmi część chińskiego przekleństwa, ale także dość obiektywne zarejestrowanie rzeczy dziejących się na świecie i w Europie.

— Oczywiście, zgadzam się z tym stwierdzeniem. Proponowałbym jednak, abyśmy na Europie poprzestali. Nie dlatego, żebym był europocentrystą, ale dlatego, że tu się dzieją rzeczy — moim zdaniem — najciekawsze, które będą rzutować w najbliższym czasie na globalną sytuację polityczną w świecie. Ponadto i pan, i ja w tej samej Europie żyjemy, a także nasi najbliżsi, znajomi, przyjaciele. W tym sensie możemy mówić, że jest to nasz wspólny dom, nasza ojczyzna.

— Europo! Ojczyzno moja! Ty jesteś, jak zdrowie?

— Ależ tak! Tę trawestację pierwszego wersetu „Pana Tadeusza" należałoby upowszechniać. Zresztą następnych także. Zdziwi się pan tym, co powiem, ale Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" jest właśnie bardzo uniwersalny i europejski, a nie zaściankowy i lokalny. Wskazuje na uniwersalne wartości kultury europejskiej.

— Powiem tak: dziwi mnie, że o naszej epopei tak mówi cudzoziemiec. Być może okażę się nieelegancki, ale także fakt, iż słyszę to od Niemca, wywołuje moje zaskoczenie. I nie dlatego, że „Pan Tadeusz" dotyczy Niemców bezpośrednio (bo przecież wiadomo, że to inny zabór), ale dlatego, że polskie aspiracje polityczne i narodowe napotykały zawsze (dla większej precyzji dodajmy: niemal) opozycję i wrogość Niemiec.

— Widzi pan, to jest właśnie ten element, który gwałtownie traci w Europie w cenie! Postrzeganie rzeczywistości politycznej z wyizolowanego punktu widzenia. W tym wypadku związanego z historią Polski i Niemiec oraz wspólnymi jej obszarami. Czy nie można patrzeć na Sopliców z Berlina? Paryża? Londynu? Bez emocji i jakichś konotacji geopolitycznych...

Aby jeszcze coś wyjaśnić, powiem, że jestem Niemcem urodzonym w Polsce, w Kętrzynie. Znam więc polskie realia nie tylko z literatury, prasy i TV. W latach 1963—65 przebywałem na stypendium naukowym u profesora Kieniewicza. Odtąd utrzymuję żywe kontakty z polskimi ośrodkami naukowymi (m. in. UJ, UW, UAM, UMCS), jestem w Polsce dwa — trzy razy w roku, a w 1981 roku ukazała się moja książka „Die polnische Doppelgesellschaft" („Polskie społeczeństwo podwójne"). Jak pan słyszy, rozmawiamy po polsku, choć dużo lepiej radzę sobie z pisaniem. Po co ja to mówię? Zapewne, aby uwiarygodnić moją kompetencję w sprawach polskich, ale także, by podkreślić nasz europejski uniwersalizm, bo ja to wszystko mogę mówić równie dobrze w Paryżu, Brukseli czy nawet w USA i Japonii (zresztą to robiłem). Sprawy dziejące się w Polsce dotyczą w większym stopniu RFN czy Francji, niż sytuacja w Sri Lance rzutuje na — powiedzmy — Pakistan.

— Rozumiem, że tworzenie wspólnej ojczyzny europejskiej ma silne oparcie w kulturze śródziemnomorskiej, z której pnia się wywodzimy, a której korzeniami są filozofia grecka, prawo rzymskie i chrześcijańska koncepcja człowieka. Być może w sferze ducha jest to bardziej oczywiste, niż w materialnej. Europa jest podzielona politycznie i gospodarczo. Jak pan widzi procesy integracyjne przy wspomnianych podziałach?

— Umówmy się co do pewnej kwestii. Czy mamy rozmawiać o pewnym rozwiązaniu całościowym, strategicznym, czy też o dopasowywaniu (dorabianiu?) teorii ogólnej do rozwiązań cząstkowych, taktycznych? Ja wolę mówić o pierwszym, bo jest ono nie tylko bardziej przejrzyste naukowo i metodologicznie, ale także dające Europie ciekawszą perspektywę.

Zacznijmy od tego, czy w Europie mamy sytuację normalną. Odpowiedź brzmi — Nie! Anormalność ta polega na stopniu ingerowania w sytuację państw europejskich dwóch mocarstw globalnych: USA i ZSRR. Widocznym efektem tej ingerencji jest obecność obcych armii w nie swoich krajach. Taka sytuacja nigdy w historii nie była sytuacją normalną (choć bywała, praktycznie, konieczną, ale to już jest inne zagadnienie...). Czy jest możliwe stworzenie sytuacji, w której ta obecność militarna byłaby niepotrzebna? Jest taka możliwość!

Rzecz sprowadza się do przekształcenia obecnego systemu bipolarnego, dwubiegunowego, w którym rzeczywistość światowa jest kształtowana przez USA i ZSRR, na bardziej demokratyczny, wielobiegunowy. W praktyce trójbiegunowy (jeżeli w ogóle można mówić o trzech biegunach). W roli trzeciego mocarstwa powinna wystąpić Europa, połączona strukturalnie. Elementami tej struktury powinny być: przynależność na równych prawach wszystkich 34 państw (bez ZSRR, tak jak i bez USA); demokratyczny system organizacyjny; wspólna wola wszystkich zainteresowanych. Taka struktura Europy, ze wspólnym rządem europejskim i parlamentem oraz wspólnym rynkiem, stanowiłaby mocarstwo przewyższające potencjałem i USA, i ZSRR. Takie mocarstwo samo sobie byłoby gwarantem i nie musiało opierać się na żadnych gwarancjach zewnętrznych. W polityce światowej wytworzyłaby się zupełnie nowa jakość. Nie byłoby takiej sytuacji, że wyjście z orbity jednego mocarstwa oznaczałoby automatycznie wkomponowanie się w system zależności od drugiego. Wpłynęłoby to na udemokratycznienie stosunków politycznych, ekonomicznych, a także — w co wierzę — rozwiązanie wielu palących problemów współczesnych, choćby haniebnych dysproporcji rozwojowych na linii Północ — Południe, z głodem i śmiercią (jaką szerzy) a które nam, ludziom końca XX wieku, zwyczajnie i po ludzku nie przystoją.

— Czy sądzi pan, że taki układ „trójbiegunowy" wywołałby entuzjazm dwóch dzisiejszych hegemonów?

— Entuzjazm nie jest kategorią polityczną. Decyduje kalkulacja ewentualnych zysków i strat, czyli po prostu interes. Można taki interes dostrzec po obu stronach. Dobrowolne zwolnienie się z obligacji wobec sojuszników spowodowałoby poważną ulgę w budżetach obu supermocarstw oraz możliwość zajęcia się w większym stopniu problemami światowymi, a nie — jak dotąd — grupowymi w relacji: my — oni. Oczywiście uległaby zmniejszeniu możliwość wpływania na losy świata oraz innych państw, ale w obecnej fazie rozwoju stosunków międzynarodowych nie sądzę, aby to mogło być tragedią nie do zniesienia. Nie podejrzewam żadnego z supermocarstw o jakieś skrycie pielęgnowane zapędy imperialno-totalitarne. Naturalnie znacznie bardziej interesująca stałaby się także sfera rozwoju gospodarczego, wymiany handlowej, przepływu technologii, transferu myśli technicznej. Uważam, że taki system działałby pobudzająco na wszystkich jego uczestników.

— Czy jednak nie dopuszcza pan myśli, że dwóch mogłoby się dogadać przeciwko temu trzeciemu?

— To by nie miało żadnego sensu! Co by mogło dać? Znowu powrót do systemu bipolarnego?

— Poza układem pozostałyby w tym modelu Japonia i Chiny. Czy ten fakt nie wpływałby destabilizująco na układ?

— Nie! Wręcz przeciwnie. Dla Japonii, która jest potęgą eksportową, powstałaby sytuacja wyboru. Dziś interesuje ją niemal wyłącznie rynek amerykański, bo jest on ogromny, chłonny, zapewniający ciągłość zbytu. Ponadto system powiązań obu tych państw ma swój wyraźny faktor polityczny. W sytuacji potężnego rynku europejskiego zainteresowanie Japończyków, naturalną koleją rzeczy, musiałoby tu się kierować. Podobnie w przypadku rynku ZSRR. Dziś sytuacja wyboru przez Japonię rynku ma swoją oczywistą konotację polityczną, bo system jest dwubiegunowy. Opcja za jedną stroną jest z natury opcją przeciwko drugiej stronie.

Jeżeli chodzi o Chiny, to sądzę, że one powitałyby omawianą strukturę z największą radością, bo ich polityka bardzo mocno akcentuje niewiązanie się z żadną ze stron. Balansowanie w trzech kierunkach byłoby dla nich bardzo wygodne i zapewne najkorzystniejsze rozwojowo.

— Czy nie uważa pan za możliwe stworzenie podobnej wspólnoty azjatyckiej? Jeżeli w niepełnej, to powiedzmy konstelacji: Japonia — Chiny?

— Z powodów kulturowych oraz ekonomicznych nie uważam tego za prawdopodobne. Dominacja Japonii jest tak wyraźna, a siła oferty Chin za mało pociągająca, aby poprzezwyciężać wielowiekowe bariery. Tym bar-

HISTORIA JEDNEJ PŁYTY, CZYLI WYZNANIE WIECZORNE OBYWATELA G.C.

Te brudne dworce, gdzie spotykam ją;
Te tłumy, które cicho klną;
Ten pijak, który mruczy coś przez sen;
Że póki my żyjemy, Ona żyje też...
(Grzegorz Ciechowski „Nie pytaj o Polskę")

BYŁO to we wrześniu 1987 roku. Zdałem sobie wówczas sprawę, że lenistwo, które opanowało mnie po nagraniu pierwszej solowej płyty, zaczyna mi już przeszkadzać. Jest to pewien rodzaj niepokoju. Na pozór wszystko w porządku: moje utwory są na listach przebojów. Ale wiem, że gdy za chwilę sięgnę do worka — on okaże się pusty.

Zacząłem od wynajęcia większego domu. Mniejszym były dwie klitki w al. Niepodległości, rodzina miała się za chwilę powiększyć... Było więc sprawą oczywistą, że praca w takiej przestrzeni będzie niemożliwa. Przenieśliśmy się pod Warszawę, do niewielkiego domku, gdzie mogłem zamknąć się w piwnicy, i nikomu nie przeszkadzając — grać.

I tutaj zaczyna się właściwa praca.

Sprawa pierwsza — kompozycje. Z doświadczenia wiem, że nie przynosi ich natchnienie, tylko wielogodzinne siedzenie nad instrumentem. Przez dwa miesiące nagrywałem wszystko, co można było nazwać choćby szczątkiem motywu. Później szukałem w tym wspólnych cech, a gdy znajdowałem, łączyłem w kompozycje. Kiedy doliczyłem się już materiału na dwie płyty i kiedy już trochę opuściła mnie panika nieróbstwa, wykonałem swój drugi — licząc od wynajęcia domu — ważny krok w tym całym bałaganie. Czyli: znalazłem producenta.

Poszedłem do Krzysztofa Materny, który jest dyrektorem artystycznym warszawskich Zakładów Widowisk Estradowych przy ZPR-ach. Powiedziałem mu:

— Mam dosyć tej amatorki, która cały czas zmusza mnie do pracy na pół gwizdka. Proponuję ci następujący interes: po pierwsze — zapłacisz za produkcję płyty; po drugie — udostępnisz mi potrzebne instrumenty; po trzecie — jako właściciel taśmy sprzedasz ją jak najlepiej; po czwarte — przed ukazaniem się płyty zapłacisz za cykl prób z muzykami, których ja wybiorę; po piąte — zapłacisz za przygotowanie koncertu, jakiego jeszcze w tym kraju nie widziałeś.

Był jeszcze i punkt szósty, w którym zażądałem, aby „w całym tym interesie pomagała mi ta oto osoba". I wskazałem na siedzącą obok mnie Małgosię Potocką, czyli moją żonę.

Na co Krzysztof:

— A co ja z tego będę miał?

— Ty będziesz miał — odpowiedziałem — swoje miliony. Bo zapłacisz nam, wiadomo, tylko stawki.

Zastanawiał się kilka dni, po czym przyjechał do nas na chińską kolację (specjalność Małgosi). W pewnym momencie oświadczył:

— W ciągu tych kilku dni przyszli do mnie z taką samą propozycją Hołdys i Borysewicz.

— W porządku, nie ma sprawy!

Po godzinie usłyszałem od Materny, że następnego dnia chce ze mną podpisać umowę.

TERAZ o cyklu spraw związanych z produkcją płyty. Telefonuję do Rafała Paczkowskiego. Pytam o jego pierwsze wolne terminy. Słyszę, że możemy zacząć od 1 lutego 1988 roku. A mieliśmy wtedy listopad osiemdziesiątego siódmego... Tak odległy termin mógł pokrzyżować moje plany, nierealnymi uczynić zobowiązania złożone Maternie. Postanowiłem jednak czekać. Rafał, o czym wiedziałem ze współpracy przy nagrywaniu pierwszej płyty, był bezsprzecznie „numer jeden" wśród inżynierów dźwięku, jak i współproducentów. A taką rolę chciałem mu wyznaczyć.

Fot. Zbigniew Miazga

Tak czy inaczej zaczęła się w tym momencie dla mnie druga część roboty nad przyszłą płytą, robota, przed którą wzdragam się najbardziej: pisanie tekstów.

Gdy komponuję, czuję się jak „pijane dziecko we mgle", które błądzi tak długo, aż znajdzie. A przy tym cieszy się ze wszystkiego, co uda się napotkać. Jako tekściarz jestem — czasem myślę: niestety — bardziej dla siebie surowy. Wiem, że w tej materii nie pomoże mi ani najlepszy instrument, ani dobra aranżacja, ani znakomity muzyk. Bawię się słowem od lat. I pewnego razu podczas lektury moich starych tekstów — poetyckich, prozatorskich — uzmysłowiłem sobie, że oto obcuję ze zwykłą grafomanią. To wyjątkowo ohydne uczucie! Staram się więc, jak tylko mogę, schodzić mu z drogi. Kiedy siadam nad pustą kartką, obstawiony słownikami, i poluję na słowa, o które mógłbym chociaż na chwilę się zaczepić, marzę tylko o jednym: wyjść już z tego pomieszczenia, z tekstem na tyle skończonym, żeby nie pokazywać go nikomu, nawet najbliższym. Bo zapisaną kartkę pokazuję tylko wtedy, kiedy jestem niepewny swego. Wówczas to odbywają się największe awantury w moim domu: najbliżsi wyłapują błędy, a ja z upo-

dziej ustalenie się konstelacji ogólnoazjatyckiej, gdzie podziały są jeszcze głębsze, nie wydaje się możliwe.

— Wróćmy więc do Europy. Czy dla wszystkich, mieszkańców europejskiego domu, proponowana koncepcja jest wystarczająco atrakcyjna?

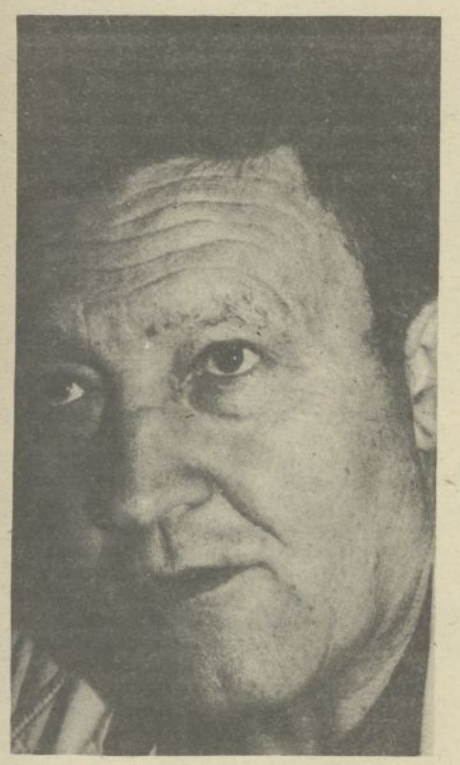

Prof. Helmut Wagner: W stronę wspólnej ojczyzny europejskiej...
Fot. Waldemar Piasecki

— Rzecz w tym, aby była na tyle interesująca, by oceniać ją w perspektywie przyszłości, a nie tylko teraźniejszości. Naturalnie trzeba by się liczyć z tym, iż wyrównanie poziomu rozwoju Europy odbywałoby się kosztem bogatszych jej członków, ale przecież gdy małżeństwo bierze się do budowy domu, to każdy daje to, co ma, bo jest to pewien kontrakt na przyszłość, na wspólne życie ich i ich dzieci. Nie może być tak, że budowa stanie w połowie, bo żona powie do męża, żeby jeszcze zarobił sto tysięcy marek więcej, bo obecnie to on nie jest jeszcze dla niej partnerem.

— Panie profesorze, sądzę, że u wielu mieszkańców takiego domu mogłoby powstać podejrzenie, że głównym lokatorem byliby w nim Niemcy. Zwłaszcza po wycofaniu z krajów europejskich wojsk USA i ZSRR. Wskazywałaby na to nie tylko liczebność, ale również potencjał gospodarczy.

— Jest to przejaw starego myślenia. Pan zakłada, że wycofane zostają wojska i zostaje po staremu: jest NATO, Układ Warszawski, EWG, RWPG. Przede wszystkim na taki wariant nie zgodziłoby się żadne z państw niemieckich! Armie mocarstw w RFN i NRD są gwarantem obecnego status quo europejskiego oraz obecnej stabilizacji. Jeżeli nastąpiłaby rzeczywista integracja, Niemcy stanowiliby około 11 procent wspólnoty. Niech mi pan powie, w jaki sposób można być w takich warunkach hegemonem. Tylko tyle. Liczmy to na kalkulatorze, odrzucając w kąt argumenty polityczne i historyczne. Takie jak ten chociażby, że Niemcy wyrzekły się ciągot hegemonistycznych, co widać dobrze w nastrojach społeczeństwa, oraz płynące i stąd, że RFN i NRD byłyby ostatnimi państwami w Europie, którym wojna mogłaby się opłacać. Mało tego, struktura wspólnoty sama przez się stanowiłaby gwarancję spokoju i bezpieczeństwa, bo nikt nie miałby wystarczającej przewagi, aby coś komuś narzucać. Byłaby to gwarancja płynąca z wewnątrz, a nie z zewnątrz. Myślę, że dla Niemców i Polaków jest to kierunek, co do którego mogliby się zgodzić. Dla naszych narodów wydaje się on szczególnie atrakcyjny.

— Panie profesorze, w 1992 roku ma nastąpić integracja dwunastu państw Europy we wspólną strukturę gospodarczą, polityczną, społeczną. Czy można to uznać za pierwszy etap integracji globalnej Starego Kontynentu?

— Integracja '92 jest pewnego rodzaju wyzwaniem cywilizacyjnym. Może ona wskazać drogę dalszego rozwoju historii Europy, choć wcale nie musi. Dla mnie jest ona wciąż o tyle niedoskonała, że ma dotyczyć grupy państw powiązanych pewnym kryterium politycznym, a być zamkniętą dla innych. Doświadczenia jednak tej „małej integracji" mogą być przydatne dla dalszego rozwijania tego procesu. „Dwunastka" skupiać będzie 320 milionów obywateli, przynosić dochód 4,2 biliardy dolarów i dostarczać 20 procent światowej produkcji. Będzie to siła porównywalna z USA i ZSRR.

— Czy można już dziś przewidzieć, co ta „mała integracja" przyniesie jej uczestnikom?

— Naturalnie są takie prognozy. W sferze ekonomicznej ma nastąpić wzrost produkcji poprzez wolną cyrkulację siły roboczej i utworzenie około dwóch milionów wolnych miejsc pracy. Nastąpi w związku z tym obniżka cen i wzrost realnych dochodów obywateli wspólnoty. Będzie postępować uniwersalizacja kulturowo-obyczajowa, osłabieniu ulegną konflikty i antagonizmy nacjonalistyczne. Niewątpliwie zacznie ulegać przebudowie mentalność społeczna. Nie wiem, czy wszystkie te przewidywania się spełnią, ale osobiście jestem optymistą.

— Mówiąc już nawet nie o integracji, ale w ogóle o przyszłości Europy, trzeba uwzględniać problem niemiecki, a konkretnie obecności dwóch państw niemieckich oraz podzielonego Berlina na mapie naszego kontynentu. Nie ma powodów udawać, że nie jest to problem bardzo drażliwy.

— Trudno byłoby uznać problem polityczny, który przebiega podziałem przez rodziny i już pokolenia Niemców, za banalny czy bez znaczenia! Kwestia niemiecka jest zagadnieniem wielopłaszczyznowym. Jeżeli chodzi o sprawy gospodarcze, to kontakty obu republik rozwijają się bardzo pomyślnie dla NRD, ze względu na dostępność dla niej rynków EWG (mówi się nawet, że NRD jest takim półczłonkiem wspólnoty). NRD otrzymuje opłaty z tytułu tranzytu, komunikacji, a także inne świadczenia. Rocznie wpływy, wynikające z tych ułatwień handlowo-rynkowych i opłat, idą w miliardy marek RFN (mówi się nawet o 12 mld). Równocześnie obserwuje się pewną odwilż w stosunkach politycznych, a także postęp w kwestiach humanitarnych (odwiedziny i łączenie rodzin). Takie usytuowanie NRD we wspólnocie krajów socjalistycznych jest na pewno specyficzne, ale również korzystne ekonomicznie. Stąd nie dziwi mnie specjalnie konserwatyzm NRD wobec „pieriestrojki" i zmian zachodzących w ZSRR, a zwłaszcza na Węgrzech i w Polsce.

Jak to wygląda ze strony RFN? Akcenty kładzione dotąd na konieczność zjednoczenia Niemiec ulegają pewnemu wyciszeniu na rzecz wskazywania na moralny obowiązek pomocy NRD. Przyznaję, że jest to politycznie zręczniejsze. Na przykład w tegorocznych wyborach do Senatu Berlina Zachodniego zjednoczenie Niemiec nie było tematem wyborczym żadnej z partii.

— Skoro doszliśmy do Berlina, którego jest pan obywatelem, zapytam o pański stosunek do statusu tego miasta.

— Odpowiadając najogólniej, sytuacja Berlina jest reliktem czasów okupacji Niemiec. Jednocześnie mam tę świadomość, że zmiana sytuacji miasta zależy od przyszłej sytuacji Europy. Nie znaczy to, że berlińczykom dziś żyje się źle i mają poczucie provisorium. Odwrotnie — Berlin Zachodni jest gospodarczo ustabilizowany, a warunki pracy są tu na ogół korzystniejsze niż w RFN, również niższe są podatki. Czymś trzeba jednak przyciągać ludzi, zwłaszcza młodych. Większość berlińczyków akceptuje status quo, a za jego gwarancję uważa obecność w mieście sił amerykańskich. Jest to kwestia i przyzwyczajenia, i pragmatyzmu.

— Wielokrotnie dyskutując o Berlinie, kończy się wcześniej czy później na murze, którego wzniesienie przez NRD omal nie zakończyło się konfliktem zbrojnym. Również dziś, gdy padają argumenty za budowaniem wspólnego europejskiego domu, wskazuje się na mur, jako obiekt, który powinien zostać rozebrany, nim się rozpocznie tę nową budowę. Jakie jest pańskie zdanie w tej materii?

— Mur został wzniesiony w całości po stronie wschodniej, a więc poza granicą Berlina Zachodniego. Związane to było z masowym przenikaniem obywateli NRD do sektorów zachodnich, a stamtąd do RFN (wówczas NRF). To NRD powinna zadecydować, czy powody, dla których wzniesiono tę budowlę, ustały, czy też nadal są aktualne. Jeżeli idzie o moje prywatne zdanie, to uważam, że przy stałych postępach odprężenia Wschód — Zachód, reliktowy charakter tej konstrukcji będzie się pogłębiał. Nie należy jednak przesadzać i uzależniać budowanie domu europejskiego od rozwalenia berlińskiego muru. Są w Europie znacznie trwalsze mury uprzedzeń, nieufności czy nawet wrogości. Niestety, biegną one zupełnie niewidzialnie dla oka...

— Panie profesorze, integracyjne koncepcje, które pan rozwija, są interesujące poznawczo i być może nawet pociągające. Mają jednak ten „defekt", że dla ich realizacji potrzebny byłby nowy consensus międzynarodowy, będący modyfikacją ładu jałtańskiego.

— Owszem, wymagałoby to stworzenia ładu postjałtańskiego. Czy to jest herezja? Nie wiem. Wydarzenia ostatnich lat pokazują, że żyjemy w czasach przełomowych. I co bardzo istotne, przełom dokonuje się na Wschodzie, czym Zachód wydaje się być niekiedy zaskoczony. Gdyby nawet jednak miało dojść do sytuacji, gdy mocarstwa decydują się modyfikować ustalenia jałtańskie, to byłby to na pewno proces ewolucyjny, a nie — rewolucyjny, gwałtowny.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

...em maniaka wykrzykuję, że jest to najlepszy tekst, jaki napisałem w życiu. Kiedy już wszystkich doprowadzam do szału, a siebie do ostateczności, następuje akt podarcia kartki. W ten sposób polska literatura rockowa żegna się z ewidentnym kiczem, a ja wracam do pustego pokoju i wszystko zaczyna się od początku.

„Moją krew wykrztusił z gardła spiker...
Moją krwią zadrukowane
Krzyczą co dzień strony gazet...
Moją krwią podpisywano
wojnę, miłość, rozejm, pokój..."

Są rzeczy, które udało mi się napisać w ciągu 10 minut, ale są takie, nad którymi siedziałem po wiele tygodni. Powtórzę banał: dla każdego piszącego teksty najważniejsze jest znalezienie mocnego punktu oparcia w dwóch—trzech słowach. Dla przykładu: n i e p y t a j m n i e (mając już te słowa, jeszcze nie wiedziałem, o co mam być „nie pytany" ani o czym będzie ten tekst), m o j a k r e w (też nie wiedziałem, co począć z tą „moją krwią").

Powiada się, że również dzięki moim tekstom stałem się idolem polskiej młodzieży... Określenie „idol" tak bardzo nie przystaje do naszej rzeczywistości, że jedyne, co czuję, gdy ktoś o mnie tak mówi, to zwykłe zażenowanie. W naszym kraju rynek muzyczny jest tak wątły, że każdy artysta stoi na nim jak na ruchomych piaskach. Aby się tu utrzymać, trzeba dokonywać nie lada ewolucji. I to wielokrotnie. Ja, w 1988 roku, musiałem po raz drugi zatoczyć to samo koło, które zataczyłem już przed laty, robiąc tak zwaną karierę z „Republiką".

Ma mi się za złe ową „buchającą krew"... Tak, również, lecz przecież nie wyłącznie, opowiadam o przemocy, gwałcie. Ale czy takim właśnie nie jest nasz świat? Świat dorosłych, oglądany oczami moich rówieśników i młodszych, dla których śpiewam... Proszę nie liczyć na moją opowieść o tym, „co, pisząc, miałem na myśli". Ilekroć podejmowałem taką próbę, nie wychodziło mi to na dobre. Tekst piosenki, sprowadzony do języka dyskursywnego, na kilometr cuchnie zwykłym banałem.

WRÓĆMY może jednak do płyty. Są już teksty i... najgorszy okres dla rodziny kończy się. Nastaje luty 1988 roku, a wraz z nim zaczyna się zupełnie inny rodzaj szamotaniny. Trzeba zebrać muzyków, wybrać kompozycje, określić, czy album ma być jedno- czy dwupłytowy; przed wejściem do studia należy wykonać wstępne programy komputerowe.

A więc telefony do muzyków: kto za granicą, kto gra na statku, a kogo uda się złapać w kraju? Menadżer negocjuje stawki. W końcu nadchodzi dzień, kiedy wchodzimy do studia, no i zaczyna się normalna harówa. Przewijają się kolejno: Tomasz Stańko, Wojtek Karolak, Krzysztof Ścierański, Jose Torres, Marcin Otrębski, Agnieszka Kossakowska itd., a nagrywa, oczywiście, Rafał Paczkowski.

Gdy termin studia kończy się, my jesteśmy dopiero w połowie roboty. Moja stara sztuczka: wiem, że kiedy wchodzę do studia, nie mogę się spieszyć. Producent, czyli Krzyś Materna, zgrzyta zębami. Staram się uspokoić go, na co on: „Nikt przecież nie kupi materiału, który będzie kosztował prawie 8 milionów złotych"... W końcu on sam dokonuje genialnego ruchu; udaje się do telewizji (właściciel Studia S-4, w którym nagrywamy) i proponuje im transakcję wiązaną. RTV ma pokryć koszty studia, w zamian za darmo dostanie od ZPR-ów możliwość retransmisji moich koncertów. W ten sposób upieczone zostają dwie pieczenie na jednym ogniu: koszt nagrania taśmy-matki spada niemal o połowę, mamy też absolutną pewność, że telewizja będzie nam towarzyszyć w czasie niedalekich już koncertów.

Taśma trafia wreszcie do „Polskich Nagrań". Wstępnie podpisana umowa opiewa na 60 tysięcy egzemplarzy. To niewiele, ale zdajemy sobie sprawę, że rynek płytowy jest kompletnie załamany.

Materna namawia mnie do występów w Sopocie. Długo zastanawiam się nad tym, w końcu wyrażam zgodę, stawiając wiele warunków. Zdaje sobie bowiem sprawę, że moje wyjście na scenę, po raz pierwszy od czasu rozwiązania „Republiki", musi być wydarzeniem, bo porażka oznaczać będzie klapę planowanych koncertów.

W lipcu, jako juror, trafiam na FAMĘ do Świnoujścia. Spotykam tam trio Włodka Kiniorskiego — „Paf". Przyjmują propozycję współpracy w Sopocie. Pozostałymi muzykami mają być ci, z którymi spotkałem się w czasie nagrań. Próby trwają dwa tygodnie, całymi dniami. Towarzyszy nam Arkadiusz Jarosz, mój stary oświetleniowiec, jeszcze z czasów „Republiki", wszystkiego pilnuje Małgorzata.

Przed wyjazdem do Sopotu udało nam się uzyskać stan spokojnej pewności, że przygotowaliśmy wszystko tak, jak tego chcieliśmy. W nocy przed występem zrobiliśmy próbę świateł i nagłośnienia. Małgorzata ustawiła wszystko, co możliwe, z realizatorem... W ostatnim dniu festiwalu udało się przywieźć do Opery Leśnej pierwszy tysiąc egzemplarzy nowej płyty. Tytuł: „Tak, tak".

Myślę, że to, co stało się w Sopocie, pomogło w drugim etapie promocji płyty, czyli w jesiennych koncertach. Poprzedziły je trwające półtora miesiąca próby, praca nad wyborem materiałów filmowych i fotografii, które w formie slajdów towarzyszyły nam na scenie. Kiedy tura koncertowa dobiegała końca, „Polskie Nagrania" zdecydowały się wydać „Tak, tak" w nakładzie niemal ćwierćmilionowym. W Sali Kongresowej otrzymałem Złotą Płytę, a później jesienią zapadła decyzja, że wyjadę, wraz z Małgorzatą, jako obserwator na canneńskie targi płytowe MIDEM '89. Czyli — a piat' do studia, bo trzeba było przygotować wersję angielską. I znowu należało łapać wszystkie terminy za ogony.

Pod koniec stycznia 1989 roku pojechaliśmy do Cannes z dwiema płytami kompaktowymi, w wersji polskiej i angielskiej, ponadto z 2,5-godzinnym „materiałem koncertowym" zarejestrowanym na taśmie wideo oraz z dwoma ciepłymi jeszcze teledyskami: „Nie pytaj o Polskę" autorstwa Małgorzaty Potockiej i „Tak, tak... to ja" Tomasza Ciesielskiego. Teraz jeszcze za wcześnie na odpowiedź: co z tego wynikło? Żeby nie zapeszyć, poczekajmy do chwili podpisania kontraktów.

Dziś, gdy spotykam kolegów, szczególnie tych, którzy poddali się marazmowi panującemu na rynku polskiego rocka, słyszę od nich:

— Udało ci się!...

W odpowiedzi namawiam ich, żeby nie brali źle zorganizowanych koncertów, nie zgadzali się na krótkie terminy pracy w studiu, żeby nie spieszyli się z nagraniem nie przygotowanego materiału tylko dlatego, że nie mają czego „wpuścić" do radia. To, co udało mi się zrobić w ubiegłym roku, jest dowodem, że i u nas mogą funkcjonować normalne mechanizmy. Ja musiałem wyzwalać je sztucznie, i chyba jeszcze wielu zmuszonych będzie do podobnego postępowania. Ale być może to „sztuczne oddychanie" spowoduje, że uda się ożywić tego trupa, nad którym wszyscy teraz płaczą.

Co teraz robię w Kazimierzu? Długie godziny siedzę nad instrumentem, bo mój worek, gdybym dziś do niego sięgnął, znów okazałby się pusty.

Zanotował: **Zbigniew Miazga**

GRZEGORZ CIECHOWSKI, najpopularniejszy dziś polski autor i wykonawca piosenek rockowych, urodził się w 1957 roku w Tczewie; jest absolwentem polonistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jako autor tekstów (wcześniej pisał poezję) oraz muzyki zadebiutował w 1978 roku. Wykonywane one były przez zespół „Res Publica", związany z uniwersyteckim klubem „Odnowa". W 1980 roku zostaje leaderem i wokalistą słynnej później grupy „Republika".

Pierwszą indywidualną płytę „Obywatel G. C.", nagrał dla Tonpressu w 1986 roku; w ubiegłym roku ukazała się druga, „Tak, tak...", firmowana przez „Polskie Nagrania", za którą uhonorowany został Złotą Płytą. Jego piosenki — w tym: „Nie pytaj o Polskę", „Tak, tak... to ja" — w 1988 roku znalazły się na czele list przebojów Polskiego Radia oraz pism muzycznych i młodzieżowych. Dobra passa Obywatela G. C. trwa...

„IM, ŁAGIERNIKOM, TŁUMACZONO, ŻE STALINIZM JEST NAJWSPANIALSZYM USTROJEM NA ŚWIECIE, A GENERALISSIMUS TO NAJUKOCHAŃSZY WÓDZ LUDZKOŚCI"

STU Z LUBLINA

Janusz Wrona

NA początku października 1947 r. prezydent Bolesław Bierut otrzymał listę stu osób, „obywateli polskich, internowanych do dnia 6.7. 1947 r. w obozie w Diagiliewie (okr. Riazań, ZSRR), których los, po wywiezieniu z obozu dn. 6.7.1947 r., jest krewnym nie znany". Pod powyższym nagłówkiem była adnotacja: „O powrót do kraju tych obywateli polskich proszą PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ — matki, żony, córki i siostry internowanych z Lublina".

13 października sekretarz prezydenta RP. Wanda Górska przesłała listę do wiceministra Administracji Publicznej Władysława Wolskiego „z prośbą o interwencję w celu przyspieszenia repatriacji tych, którzy dotychczas nie powrócili".

Trzy dni później W. Górska wystosowała pismo do Heleny Wendorff, zamieszkałej w Lublinie przy ulicy Narutowicza 51 m. 3: „W odpowiedzi na list w sprawie osób internowanych do ZSRR komunikuję, iż podanie obywatelki zostało przekazane kompetentnym czynnikom. Ponadto w chwili obecnej odbywa się repatriacja osób internowanych przez działające armie w czasie wojny, wobec czego należy oczekiwać powrotu osób wymienionych przez petentów".

Wszystko wskazuje, że H. Wendorff koordynowała działania interwencyjne w imieniu rodzin i bliskich wywiezionych. Czyniła to nie po raz pierwszy.

16 LIPCA 1946 r. wraz z Hanną Pliszczyńską (zamieszkałą w Warszawie) skierowały do prezydenta KRN B. Bieruta „Memoriał w sprawie internowanych przez wojskowe władze ZSRR członków wojewódzkiej Delegatury Rządu w Lublinie". Pisano w nim, że władze radzieckie zapewniały, iż internowanie się skończy, gdy Lubelszczyzna przestanie być pasmem przyfrontowym, zaś władze polskie wiązały termin uwolnienia internowanych z ogólną akcją repatriacyjną. Ponieważ tak się nie stało, H. Wendorff i H. Pliszczyńska proszą „o spowodowanie zwolnienia członków wojewódzkiej Delegatury Rządu w Lublinie, w skład której wchodzili znajdujący się obecnie na terenie ZSRR: Władysław Cholewa, Marian Chaciewicz, Otmar Poźniak, Jan Chmielewski, Józef Dolina, Saturnin Osiński, Tadeusz Markiewicz, Józef Posadyn, Stanisław Pliszczyński, Kazimierz Stalewski, Stefan Wendorff, Wacław Zarek".

W cytowanym „Memoriale" zwrócono się również „o poczynienie starań w celu zawarcia umowy z Rządem ZSRR w sprawie powrotu do kraju internowanych i wywiezionych do Rosji Polaków wojskowych i cywilnych".

W odpowiedzi na zawarte w piśmie sugestie dyrektor Biura Prezydenta KRN sformułował następującą konkluzję: „Rząd Polski nie ma podstaw prawnych do interweniowania na rzecz tych osób, dopóki nie zostaną wyczerpane skutki decyzji, wynikłe z jurysdykcji sądownictwa wojskowego".

KLIMAT wokół sprawy internowanych zmienił się po wyborach do Sejmu Ustawodawczego RP, które odbyły się 19 stycznia 1947 r. Istnieją źródłowe przesłanki, wskazujące na osobiste zabiegi B. Bieruta u J. Stalina w sprawie powrotu do kraju aresztowanych i wywiezionych do ZSRR Polaków.

5 marca 1947 r. po dziewięciodniowych negocjacjach w Moskwie polska delegacja rządowa z premierem Cyrankiewiczem podpisała porozumienie z władzami ZSRR w sprawie przyspieszenia repatriacji osób narodowości polskiej, które w wyniku działań wojennych znalazły się na terytorium ZSRR. W uściślającym ramy umowy piśmie wiceministra Andrieja Wyszyńskiego znalazło się stwierdzenie, iż wyklucza się powrót tych osób, „które są oskarżone o dokonanie ciężkich przestępstw przeciwko Armii Czerwonej".

W konsekwencji proces powrotu internowanych przeciągnął się do 1957 r., gdy według oficjalnych danych, wróciła ich ostatnia fala. Jednak zdaniem Juliana Siedleckiego — autora książki „Losy Polaków w ZSRR w latach 1939—1986" (Londyn 1987), będącej pierwszą, kompleksową i dociekliwą próbą zbadania problemu — jeden z ostatnich transportów, liczący około 800 oficerów deportowanych do ZSRR i internowanych, przybył do Polski na przełomie 1962/1963 r.

Jaka była skala internowań? Sprawa ta wymaga odrębnych studiów. Sygnalnie zaś można przywołać J. Siedleckiego, który bazując na danych sporządzonych przez MSW Rządu RP w Londynie, stwierdza, iż z miast północno-wschodniej Polski deportowano do ZSRR w 1945 r. przeciętnie 2000—2500 osób miesięcznie. Ze znajdującego się w spuściźnie B. Bieruta materiału wynika, że pod koniec 1947 r. władze polskie oceniały, iż w ZSRR przebywa około 50 tysięcy Polaków „w miejscach odosobnienia, obozach i więzieniach". Szacunki te uwzględniały także tych, których aresztowano na dawnych kresach II Rzeczypospolitej.

Zygmunt Mańkowski w studiach pt. „W kręgu polskich doświadczeń historycznych XIX i XX w." oblicza, iż w latach 1944—1950 w Polsce aresztowano około 250 tysięcy osób. Nie ma natomiast przekonywającej odpowiedzi, ile z nich wywieziono do ZSRR.

Do kiedy trwały aresztowania i wywózki? Próbę odpowiedzi dał Ryszard Reiff, przewodniczący Związku Sybiraków, w wywiadzie dla „Przeglądu Tygodniowego": „Niedawno zgłosił się człowiek wywieziony do ZSRR z Częstochowy w roku 1948, czyli wtedy, kiedy wydawałoby się, że to już zamknięty rozdział przeszłości. Wrócił w 1957 r. Pytałem, czy jechał sam? Nie — twierdził, że takich jak on było trzy wagony. Mało tego, na zesłaniu spotykał ludzi przywożonych z Polski w 1953 roku!".

DIAGILIEWO obok Ostaszkowa stanowiło niewątpliwie największy obóz w ZSRR dla zesłanych tam Polaków. (Były dwa obozy o tej samej nazwie, ale o innej numeracji). „Specjagier nr 178 w Diagiliewie robił na pierwszy rzut oka lepsze wrażenie niż ten w Ostaszkowie — relacjonował Wacław Krajewski, żołnierz AK z Podlasia, wywieziony z Polski w październiku 1944 r. i osadzony w Diagiliewie od kwietnia 1945 r. — [...] Baraki zbudowane z desek, dachy kryte eternitem" („Kurier Polski" nr 40 z 24—26. 02.1986).

Pierwsze grupy akowców znalazły się w nim już w drugiej połowie 1944 r. Była to tzw. grupa lubelska, skierowana do obozu 27 sierpnia 1944 r., licząca najprawdopodobniej 245 osób. W następnym miesiącu przybyła grupa wileńska, a później przyszły mniejsze transporty z Brześcia i Lwowa.

W obozie znaleźli się działacze cywilni i wojskowi związani z lubelską Delegaturą Rządu RP w Londynie z delegatem Władysławem Cholewą, a także członkowie Delegatury z Białegostoku z delegatem Józefem Przybyszewskim. Było też w Diagiliewie wielu czołowych dowódców AK z płk. Kazimierzem Tumidajskim „Marcinem", płk. Aleksandrem Krzyżanowskim „Wilkiem", płk. Władysławem Filipowskim „Janką", ppłk. Franciszkiem Studzińskim „Kotliną", ppłk. Stefanem Czerwińskim „Karabinem", gen. bryg. Ludwikiem Bittnerem „Halką", płk. Adamem Switalskim „Dąbrową", płk. Hieronimem Suszczyńskim „Szeligą", mjr. Tadeuszem Sztumbock-Rychterem „Żegotą".

W Diagiliewie warunki były nieco lepsze niż w innych łagrach. Oficerowie nie mieli obowiązku pracy fizycznej. Przedstawiciele NKWD głosili, że przestrzegają przepisów Konwencji Genewskiej dla jeńców wojennych. Obóz ten ma już swojego historyka — Jana Łosia, b. żołnierza AK, autora książki „Drugi brzeg Oki", wydanej przez paryskie „Editions-Spotkania". O Diagiliewie pisze także Tadeusz Żenczykowski w pracy „Polska Lubelska 1944" (Paryż 1987).

OBÓZ w Diagiliewie wsławił się masowym, zorganizowanym protestem uwięzionych, żądających zwolnienia i powrotu do kraju. Formą protestu była głodówka. To w jej następstwie część internowanych wywieziono w lipcu 1947 r. z tego obozu, co spowodowało, iż w piśmie do B. Bieruta rodziny wspominają o nieznanym losie swoich bliskich.

W relacji W. Krajewskiego wydarzenia wyglądały następująco: „Maj 1945. Koniec wojny. Wiele radości i oczekiwań. Ale tu w Diagiliewie nic się nie zmieniło. Głodowe racje i wyczerpująca praca przerywana przez przesłuchania". NKWD, a ściślej mówiąc kontrwywiad wojskowy SMIERSZ stale interesował się więźniami i co jakiś czas wytaczano komuś sprawy. W relacji W. Krajewskiego niektóre przesłuchania graniczyły z bestialstwem. Uwięzionych pozbawiono prawa korespondencji z krajem. „W tej sytuacji 29 czerwca 1947 r. — wspomina Krajewski — po trzech latach łagiernego umierania rozpoczęliśmy głodówkę protestacyjną. Początkowo władze nie zwracały na to uwagi. Były jak zwykle apele, lecz każdego następnego dnia coraz mniej kolegów wychodziło na plac. Aż przyszedł taki moment, że nie było na nim nikogo. Obóz umierał".

3 lipca przyjechała z Moskwy specjalna grupa operacyjna, złożona z około 150 lekarzy i pracowników służby zdrowia. „Przybysze podjęli próbę sztucznego odżywiania — pisze T. Żenczykowski. — Usiłowania ich były bezskuteczne, głodujący akowcy stawiali opór. Władze NKWD zareagowały na to wywiezieniem z obozu kilkudziesięciu oficerów, w tej liczbie 5-osobowej tzw. grupy generałów. Tych ostatnich dostarczono do szpitala więziennego w Skopino pod Moskwą. Tam poddano ich przymusowemu odżywianiu. Na skutek nieudolnego zabiegu w tym samym jeszcze dniu zmarł płk Kazimierz Tumidajski".

Ostatecznie po 10 dniach, po powrocie do obozu grupy wywiezionej do więzienia w Riazaniu, a także czterech dowódców ze Skopino, głodówkę przerwano. Przybyły z Moskwy generał NKWD obiecał, iż wkrótce internowani powrócą do Polski. Według relacji W. Krajewskiego, procedura uwalniania była dwustopniowa. Prowadziła przez obóz w Borowicach, gdzie próbowano internowanych odżywić, „a także przekonać do systemu stalinowskiego. Im, łagiernikom, tłumaczono, że stalinizm jest najwspanialszym ustrojem na świecie, a generalissimus to najukochańszy wódz ludzkości".

Część uwolnionych z Diagiliewa przekroczyła granicę 17 października 1947 roku.

KIEDY natomiast powrócili do Polski ci, których umieszczono na liście przedstawionej B. Bierutowi? Czy powrócili wszyscy? Istnieje źródłowe potwierdzenie, iż W. Cholewa znalazł się w Białej Podlaskiej 4 listopada 1947 r. A pozostali?

Prezentowana lista budzi szereg innych refleksji, skłania do postawienia wielu dalszych pytań. Czy wszyscy na niej wymienieni wywodzili się z Lublina? Dlaczego brak danych w odniesieniu do wielu osób, w tym w osiemnastu przypadkach brak informacji o miesiącu bądź roku internowania? Czy aresztowani mieli szanse przekazać informacje o swoim losie rodzinom? Niektórzy zapewne tak. Świadczyć może o tym fragment grypsu od internowanych, przejęty najprawdopodobniej w sierpniu 1944 r. przez władze bezpieczeństwa. Pisano w nim, iż obóz liczy około 500 internowanych: „są majorowie, pułkownicy i 1 generał, zawieziono nas za druty 4 km od Lubartowa, jesteśmy w szkole rolniczej »Skrobów«. Da się nas widzieć, bo swobodnie chodzimy za drutami, porozumiewamy się z ludźmi za drutami". Czy podobnie było na terenie innych obozów przejściowych zlokalizowanych na Lubelszczyźnie, wśród których wymienia się Krzesimów, Nowiny i Poniatową?

Jak wyglądała łączność wywiezionych z krajem? Nie istniała, jak stwierdził W. Krajewski, czy może była utrzymywana? Skąd bowiem brały się informacje o pobycie wymienionych na liście osób w Diagiliewie? Czy znajdujące się w spisie trzy kobiety także były w tym obozie?

Historyka muszą także nurtować pytania o okoliczności aresztowań. Gdzie się one odbywały: w domu, w miejscu pracy czy na ulicy? Z materiałów wspomnieniowych znane są opisy tzw. kotłów, jakie urządzało NKWD bądź UB. Czy w proces wywózek zaangażowane były jedynie władze radzieckie? Jakie kryterium decydowało o internowaniu — okupacyjna przeszłość (AK), a może zwykły przypadek, ślepy los? Czy ktoś próbował interweniować, ratować aresztowanych?

Wydaje się, że taką próbę podejmował czasami Edward Osóbka-Morawski. Świadczy o tym odpowiedź kierownika sekretariatu Resortu BP z 7 grudnia 1944 na odręczne pismo przewodniczącego PKWN z 30 listopada 1944 r. w sprawie aresztowanych w Lublinie adwokatów Wacława Bartkiewicza, Władysława Tarkowskiego i Laury Michałowskiej. Dwóch pierwszych miało stanąć przed naczelnym prokuratorem WP, gdyż byli podejrzani o przynależność do AK. „Natomiast Laura Michałowska nie jest do dyspozycji władz podległych Resortowi Bezpieczeństwa Publicznego. W tej sprawie nastąpi interwencja, o wyniku której ob. Przewodniczący będzie powiadomiony".

I na końcu niewątpliwie pytanie najtrudniejsze. Jaki wpływ na dalszy bieg życia osób, wymienionych na liście, wywarło internowanie w ZSRR?

Podobnych pytań postawić można więcej. Odpowiedź na te, które sformułowałem, może dostarczyć materiału, który należy wprowadzić do zbiorowej świadomości społeczeństwa, by realistycznie spojrzeć na genezę Polski Ludowej. Według niezwykle trafnej opinii Andrzeja Ajnenkiela („Polityka" nr 10 z 11.03.1989) wymaga to wyraźnego wskazania przez historyków, iż „ta władza powstała dzięki temu, że do Polski w toku działań wojennych wkroczyła Armia Czerwona i że bez niej nie mogłaby się utrzymać. A ten parasol miał specyficzny stalinowski charakter, wpływał też na charakter państwa, ograniczając jego suwerenność. Punktem wyjścia musi więc być pogłębiona refleksja nad polskim stalinizmem ze wszystkimi wynikającymi konsekwencjami".

Poniżej publikujemy listę stu osób, wywiezionych 6.07.1947 r. z Diagilijewa, którą Bierut otrzymał na początku października 1947 r. od ich rodzin i bliskich z prośbą o interwencję (maszynopis w Centralnym Archiwum KC PZPR, zespół Archiwum Bolesława Bieruta):

Lp.	Nazwisko internowanego	Data urodz.	Data internow.
1.	Adamski Stanisław, s. Henryka	16.12.1916	6.04.1945
2.	Araszkiewicz Teodor, s. Karola	9.11.1883	21.08.1944
3.	Bawankiewicz Wiktor, s. Włodzimierza	8.07.1910	18.08.1944
4.	Błoński Kazimierz, s. Feliksa	1912	12.08.1944
5.	Borkowski Leopold, s. Franciszka	20.11.1909	21.01.1945
6.	Borowski Jan	1888	
7.	Brokowski Sylwester, s. Bolesława	1906	1.08.1944
8.	Bryk Stefan, s. Szczepana	26.08.1918	12.08.1944
9.	Bryda Stanisław	13.11.1923	19.11.1944
10.	Chaciewicz Marian, s. Józefa	25.02.1895	9.08.1944
11.	Chmielewski Jan, s. Andrzeja	24.06.1897	4.08.1944
12.	Cholewa Władysław, s. Łukasza	6.02.1892	3.08.1944
13.	Ciepliński Wacław, s. Ludwika	1895	9.08.1944
14.	Danielski Jan, s. Henryka	14.11.1892	5.08.1944
15.	Dolina Józef, s. Franciszka	30.12.1908	3.08.1944
16.	Drewnowski		08.1944
17.	Dudziński Antoni, s. Władysława	1900	14.08.1944
18.	Dzierżyński Jerzy, s. Władysława	5.08.1917	18.07.1944
19.	Gęsina Wacław, s. Jana	31.12.1899	17.08.1944
20.	Grasiński Bogusław	10.05.1910	18.08.1944
21.	Grabowski Bolesław, s. Piotra	11.02.1895	14.08.1944
22.	Grekowicz Stanisław, s. Władysława	5.08.1917	18.07.1944
23.	Grenda Antoni, s. Jana	6.01.1911	7.08.1944
24.	Hołyst Aleksander, s. Antoniego	26.11.1906	08.1944
25.	Hlaszek Mieczysław, s. Jarmołaja	24.06.1912	18.08.1944
26.	Hłasko Paweł	7.02.1898	08.1944
27.	Iwaszkiewicz Adam Marian, s. Antoniego	21.01.1894	5.08.1944
28.	Iłżecki Włodzimierz, s. Leona	1920	07.1944
29.	Jarnuszak Jan		18.08.1944
30.	Jabłoński Wincenty, s. Leona	30.01.1891	22.08.1944
31.	Janowski Marian, s. Stanisława	23.11.1927	
32.	Kondratiuk Stefan, s. Bronisława	1913	13.08.1944
33.	Kosowski Czesław	19.08.1894	08.1944
34.	Kowalski Tadeusz, s. Franciszka	1.09.1919	6.11.1944
35.	Kraiński Józef		15.08.1944
36.	Król Wacław, s. Aleksandra	12.04.1912	10.08.1944
37.	Kwieciński Eugeniusz, s. Stanisława	6.02.1921	8.08.1944
38.	Iwaszkiewicz Stefan, s. Czesława	9.09.1892	5.08.1944
39.	Kułakowski Michał, s. Tomasza	22.09.1894	8.08.1944
40.	Kudela		
41.	Kozłowski Stanisław, s. Stanisława	12.08.1922	16.09.1944
42.	Kruk Józef, s. Jana		
43.	Kincel Zygmunt, s. Antoniego	15.12.1910	08.1944
44.	Kaczorowski Wincenty, s. Franciszka	29.01.1918	22.08.1944
45.	Lempert Stanisław		1944
46.	Lisowski Wacław, s. Jana	28.07.1920	12.08.1944
47.	Litwiński Stanisław		08.1944
48.	Lalka Tadeusz, s. Szczepana	13.09.1924	20.08.1944
49.	Litwinek Jerzy		
50.	Litwinek Kazimiera, matka Jerzego		
51.	Łokuciejewski Stanisław, s. Tadeusza	8.08.1914	
52.	Łabędź Tadeusz, s. Andrzeja	1898	
53.	Maculewicz Janusz		08.1944
54.	Majlich Franciszek Mieczysław, s. Karola	29.04.1893	8.08.1944
55.	Małaszewicz Wacław, s. Feliksa	1906	17.08.1944
56.	Mańkowski Alfred, s. Aleksandra	14.10.1891	08.1944
57.	Markiewicz Tadeusz, s. Lucjana	14.08.1897	3.08.1944
58.	Mikita Władysław, s. Andrzeja	3.09.1899	17.08.1944
59.	Modzelewski Wacław, s. Klemensa	1905	5.08.1944
60.	Mościcki Jan, s. Witolda	10.01.1906	08.1944
61.	Mościcki Stanisław, s. Stanisława	05.1914	
62.	Mościcki Stanisław, s. Jana	25.01.1914	17.01.1945
63.	Nowacki Jarisław, s. Wacława	20.02.1922	10.08.1944
64.	Osiński Saturnin, s. Polikarpa	7.04.1879	4.08.1944
65.	Ostrowski Eugeniusz Jerzy, s. Włodzimierza	27.09.1911	10.08.1944
66.	Orkiszewski Stefan, s. Stefana	8.12.1917	26.08.1944
67.	Podborny Marian, s. Marcina	6.08.1893	
68.	Posadyn Józef, s. Jana	6.03.1906	22.08.1944
69.	Parol Stanisław Marcin, s. Jana	12.11.1918	12.08.1944
70.	Pietrzak Aleksander, s. Antoniego	1.06.1924	26.08.1944
71.	Pliszczyński Stanisław, s. Andrzeja	4.01.1901	4.08.1944
72.	Poźniak Otmar, s. Jana	11.11.1892	3.08.1944
73.	Pożerski Kazimierz		
74.	Pyś Longin, s. Michała	16.03.1916	10.08.1944
75.	Radziejewski Edward, s. Władysława	15.05.1925	24.10.1944
76.	Różański Jerzy, s. Piotra	15.10.1923	08.1944
77.	Rogowska Jadwiga, c. Kazimierza	6.11.1902	08.1944
78.	Sawicki Czesław		
79.	Sawicki Feliks		
80.	Słowik Jan, s. Adama	20.06.1896	19.08.1944
81.	Sikora Julian		08.1944
82.	Świerzyński		
83.	Świca Feliks	1889	08.1944
84.	Szczepkowski Tadeusz, s. Andrzeja	10.04.1921	14.08.1944
85.	Szymanowska Aleksandra, c. Antoniego	9.11.1887	08.1944
86.	Szustakiewicz Stanisław		
87.	Szubert Aleksander, s. Romana	1900	08.1944
88.	Ufnal Szczepan, s. Stanisława	4.12.1897	14.08.1944
89.	Terlecka Helena		
90.	Wawruszak Włodzimierz, s. Jana	21.09.1899	12.08.1944
91.	Wendorff Stefan, s. Karola	17.04.1895	2.08.1944
92.	Woźnicki Eustachy		
93.	Wesołowski Wiktor, s. Mariana	12.12.1901	08.1944
94.	Wieruszewski Wiktor, s. Mariana	12.12.1901	08.1944
95.	Woźniakiewicz Zenon, s. Stefana	22.12.1900	08.1944
96.	Zrubek Jan s. Jana	6.12.1911	6.11.1944
97.	Zarek Wacław, s. Jana	26.11.1899	08.1944
98.	Radziejewski Wiktor, s. Władysława	20.04.1923	10.11.1944
99.	Szostakiewicz Antoni		
100.	Szewczyk Zdzisław		20.08.1944

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA"

OD REDAKCJI:

Powojenna, jakże tragiczna historia więzienia na lubelskim Zamku przestała wreszcie być tematem tabu. Również dzięki relacjom osób, które odpowiedziały na nasz apel o wspomnienia (dziękujemy im, czekamy na dalsze), coraz więcej wiemy o ludziach tam więzionych. Torturowanych i wysyłanych na śmierć. Ludziach, których jedyną winą było to, że nosili w sobie inne od oficjalnego wówczas wyobrażenia Polski.

Na zamkowym murze, niemym świadku tragicznych wydarzeń lat 1944—54, winna znaleźć się tablica pamiątkowa będąca wyrazem hołdu i — spóźnionej co prawda — pamięci. Tak brzmi postulat zgłoszony nam przez Czytelników, pod którym podpisuje się zespół „Relacji".

23.03.1989 r.

W MAJESTACIE PRAWA

ARESZTOWANO go w październiku 1949 r. Po dwuletnim śledztwie, wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Lublinie skazany został:

● na mocy art. 1 § 1 Dekretu z dn. 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa — na karę śmierci;

● na mocy art. 4, w związku z art. 7 tego dekretu — na karę śmierci;

● na mocy art. 86 § 1 i 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego — na 15 lat więzienia.

Dwudziestoparoletni szofer z lubelskiej placówki „Hartwiga" nie znał treści artykułów i paragrafów, dotarły do niego dopiero słowa: k a r a ś m i e r c i. Czy rzeczywiście odnoszą się one do niego?

Bo jeśli tak — próbował szukać spóźnionej sprawiedliwości — to za co?!

Urodził się w Wilnie 3 sierpnia 1922 r. Wszystko to, co miało mieć związek z zamkniętym przed chwilą procesem, zaczęło się w momencie pójścia ojca na wojnę. Zakończył on ją pod Kockiem. Stamtąd, nie kwapiąc się do spotkania z Armią Czerwoną, obrał kierunek na Lublin. Zamieszkał u szwagra. Wiadomość o tym przynieśli im ludzie do Wilna. I jeszcze prośbę: „Jeśli to będzie możliwe, przyjedźcie tutaj"... Łaskawym okazał się los, w 1940 r. mieszkali już razem.

W trzy lata później ojciec (ps. „Budda") przyjmuje do oddziału AK, którym dowodzi — syna. Ten otrzymuje pseudonim „Bystry" i rozkaz bycia łącznikiem. Oddział, operując w Lublinie, Lubartowie i okolicach, dokonuje dywersji i sabotażu. Pierwszą i zarazem ostatnią poważniejszą akcją, w której bierze udział „Bystry", jest odbywająca się podczas wyzwalania Lublina bitwa o gmach przy ul. Narutowicza, w którym, już wkrótce, znaleźć się ma wojskowy szpital.

Po wyzwoleniu „Bystry" wraca do szkoły. Choć z maturą z „Zamoyskiego", zostaje (w 1948 r.) szoferem w firmie „Hartwig".

Tu następuje przerwa w opowieści. Schorowany mężczyzna (najdokuczliwsza jest poważna choroba gardła) prosi o kilkanaście minut odpoczynku. Gdy możemy już kontynuować rozmowę, pytam:

— Prowadził pan po wyzwoleniu działalność konspiracyjną?

— W niewielkim stopniu, nigdy z bronią w ręku. Najpoważniejszym „grzechem" wobec ludowej władzy było malowanie w czasie referendum napisów „3×NIE".

— Czy pan się ujawnił jako akowiec?

— Mnie ujawniono. Było to w październiku czterdziestego dziewiątego. Gdy wróciłem do domu (mieszkałem przy Nowej 11, dziś Rady Delegatów), zastałem mężczyznę, który przedstawił się jako działacz ZWM. Poprosił, ażebym udał się z nim na rozmowę. Na schodach czekał drugi „działacz", a przed bramą trzeci. Natomiast czwarty dołączył na skrzyżowaniu Krakowskiego Przedmieścia z ul. 3 Maja. Wtedy powiedzieli, że są z UB.

Doprowadzony zostałem na Szopena 18. Przesłuchanie zaczęło się natychmiast. Po podaniu personaliów padło pytanie: „do jakiej bandy należysz?" Gdy zaprzeczyłem, jeden z przesłuchujących począł bić mnie po twarzy, najpierw otwartą dłonią, a później pięścią. Upadłem, wtedy zaczął mnie kopać. Straciłem przytomność, lali więc na mnie wodę. Podawali przy tym różne nazwiska oraz pseudonimy i pytali, czy znam tych ludzi, ich adresy. Przesłuchanie to trwało od popołudnia do rana następnego dnia. Do momentu, gdy cucenie wodą już nie skutkowało. Przytomność odzyskałem dopiero w celi.

— Jak często powtarzały się przesłuchania?

— Na to nie było reguły. Ja na następne zabrany zostałem już nazajutrz. Znów było bicie i rozgniatanie rąk, strzelano około mojej głowy z pistoletu. Z innymi aresztantami obchodzono się jeszcze okrutniej.

Przesłuchania trwały niejednokrotnie i kilka dni, zmieniały się tylko ekipy śledczych.

— Gdzie znajdowały się pomieszczenia, w których prowadzone były przesłuchania, a gdzie były cele?

— Przesłuchiwano w budynku frontowym od ul. Szopena, cele natomiast znajdowały się w oficynie, w lochu.

— Jakie było wyżywienie?

— Śniadanie — pół litra tzw. kawy, obiad — 150 gramów chleba, na kolację często śledzie, a przy tym nic do picia.

— Pamięta pan współaresztantów?

— W szczególności dwóch: Janka W. (proszę wybaczyć, że nie podaję nazwisk, ale nie wiem, czy tego by sobie życzyli) z Tyszowiec koło Zamościa, oskarżonego o przynależność do AK, oraz Mariana S. z Lublina, któremu zarzucano działalność antyrządową, lecz bez określenia organizacji, do której miałby należeć. Utkwili mi oni w pamięci, gdyż razem podjęliśmy — kierując się rozpaczą, a nie rozumem, co zaraz się okaże — próbę ucieczki. Otóż pewnego dnia, gdy doniesiono bańkę z jedzeniem i profos otworzył drzwi naszej celi, rzuciliśmy się na niego. Jeszcze zanim zdążyliśmy go obezwładnić, na schodach stał już z rkm (ręczny karabin maszynowy). Konsekwencją było rozebranie nas do naga, skutych bito do utraty przytomności. A potem lali wodę. Dodam, że był to początek stycznia.

— Był pan więziony również na Zamku...

— W lutym 1950 r. przewieziony zostałem na Zamek. Skutego, rzucono mnie na węgiel znajdujący się w lochu pod basztą. Po trzech dniach przeszedłem — taki był tu zwyczaj — na kwarantannę do baszty. Kiedyś przyprowadzony zostałem do kancelarii więziennej. Znajdujący się tam cywil dziwił się moim siniakom, zapytał, gdzie i przez kogo zostałem tak pobity. Powiedziałem, że podczas przesłuchań na Szopena. Po kilku dniach ponownie doprowadzony zostałem do kancelarii. Ów cywil był teraz z kapitanem Reszko z komendantury więzienia. Podali mi zdjęcia, miałem na nich rozpoznać funkcjonariuszy, którzy bili mnie podczas przesłuchań. Tych jednak nie było na fotografiach. Gdy to powiedziałem, zażądali ode mnie zmiany zeznań. Nie zgodziłem się.

— Co udowodniono panu w czasie śledztwa, a potem rozprawy?

— Zacznijmy od tego, że zarzucano mi szpiegostwo, działanie zmierzające do obalenia władzy ludowej oraz zabójstwo szefa UB w Lubartowie. Do niczego nie przyznałem się, niczego też mi nie udowodniono. Całość oskarżenia opierała się na poszlakach i zeznaniach świadków, których nawet nie znałem. Mimo tego, w majestacie prawa, zapadł wyrok skazujący. Najsurowszy z możliwych...

Dokończenie na str. 12

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna" — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński *Córce mojej poświęcam*

Obóz rozdzielczy „Kotłas", 1 czerwca 1940.

Nasza podróż, po wyjeździe z obozu w Zaporożu w dniu 22 maja 1940 r., zakończyła się niespodziewanie 30 maja w nocy. Pociąg zatrzymał się i stał dłuższy czas w ciemnościach. O świtaniu wojskowa eskorta zaczęła walić kolbami karabinów w drzwi i ściany wagonów, wołając: „Wychaditie!", „Sobirat' wieszczy!", „Pobystriej wychaditie!".

Pociąg stał, jak się okazało, w lesie. Po opróżnieniu wagonów, a tych było w naszym transporcie chyba trzydzieści dwa, zebrano nas wszystkich i ustawiono w czwórki. Wokół słychać było nawoływania, głośne wyzwiska po rosyjsku, szczekanie psów policyjnych. „Aleśmy się dostali!" — powiedział do mnie kolega stojący obok.

Nim doszedł nas rozkaz: „Marsz", czoło kolumny było już dawno w drodze; jak się okazało — ku położonemu w oddali obozowi.

Kiedy wychodziłem jako ostatni z wagonu, osłabiony podróżą nie byłem w stanie szybko zeskoczyć na ziemię. Przysiadłem więc najpierw na podłodze, a następnie wolno i z trudem opuściłem się w dół. Patrzący na to strielok zawołał: „Wot, kulturnyj!".

✲

Wyruszywszy z Zaporoża, jechaliśmy dniami i nocami przez Charków, Kursk, Orzeł, Tułę, Moskwę i Wiatkę. Początkowo wielu sądziło, że kierujemy się w stronę Polski. Tak twierdził m. in. Bondarenko, którego poznałem w obozie w Zaporożu. (Bondarenko pracował w jakiejś spółdzielni w Dąbrowie czy też w Bielsku). Ile razy pytałem go z niepokojem, czy nie jedziemy aby „na białe niedźwiedzie", odpowiadał z wielką pewnością siebie, że owszem, część ludzi będzie tam wysłana, ale ci „lepsi" w Moskwie zostaną wyłączeni z transportu i pojadą do kraju, do domu. Wśród owych „lepszych" miał być również i on sam, a może nawet cały nasz wagon — trzydziestu dwóch ludzi. Toteż kiedy po przybyciu na jeden z moskiewskich dworców stanęliśmy na bocznicy kolejowej, a potem wagon nasz przetaczano kilka razy na inne tory, zaczęliśmy być jak najlepszej myśli.

Wieczorem, uformowany na nowo transport ruszył w drogę. „Jedziemy do Polski!" — cieszą się koledzy. „Jedziemy na wschód! — mówię. — Tak wskazuje kompas". „Nieprawda, kierujemy się na Stołpce!". „Jedziemy na wschód — powtarzam. — Jedziemy »na niedźwiedzie«, nie mam żadnej wątpliwości. Bo jeśli nawet kompas by źle wskazywał, to popatrzcie: to słońce za oknem, które teraz podnosi się znad horyzontu, wschodzi na wschodzie. A nie — na zachodzie. Właśnie w kierunku słońca jedziemy!"

Zgodzili się ze mną; i Bondarenko również.

Jechał z nami człek o nazwisku Błocki, starszy pan z Żyrardowa. W Zaporożu, pamiętam, mieszkał w trzecim baraku. Był to ten sam, który wsypał u władz obozowych podchorążego Kruszyńskiego, recytującego patriotyczny wiersz podczas zamieszek w okresie Bożego Narodzenia. Otóż przejeżdżając przez Kirow, który obecnie tak się nazywa, a przed rewolucją nosił nazwę Wiatka, Błocki się nagle bardzo ożywił. Zaczął nam opowiadać, jak to przed pierwszą wojną światową właśnie w tej okolicy, na rzece Wiatka budował most drogowy...

✲

Stacyjka kolejowa wśród lasów, na której zatrzymaliśmy się tak nagle w dniu wczorajszym, znajduje się niedaleko miejscowości Kotlas, leżącej około piętnastu kilometrów od miasta powiatowego Solwyczegorsk, nad rzeką Dźwiną Północną, której dopływem jest Wyczegda. W Kotłasie była kiedyś słynna cerkiew, jedna z pierwszych wybudowanych w Zyriańskiej Ziemi w XIV w. przez świętego Stefana, biskupa permskiego. Ale my przyjechaliśmy tu nie jako pielgrzymi, tylko do „peresylnego punktu": obozu rozdzielczego „Kotłas"...

✲

Nasze kolumny po opuszczeniu stacji kolejowej posuwały się wolno w stronę wysokiej na kilka metrów, oplecionej drutem kolczastym bramy. Po wejściu na wewnętrzny dziedziniec moją grupę skierowano do dużego baraku, pierwszego z lewej strony od bramy. Był to właściwie wysoki budynek, a nie „normalny" obozowy barak. Miejscowi określali go nazwą — „młyn". W „młynie" stały wielopiętrowe pryczę, na których zaraz się rozłożyliśmy.

Cały nasz obóz stoi nad brzegiem Dźwiny. Na rzece pracują ludzie przy zbijaniu tratw drzewnych. Obóz składa się z kilkunastu baraków większych i mniejszych; podzielony jest na części parkanem oraz zasiekami z drutów kolczastych. Na kilku mniejszych barakach, mogących pomieścić po około pięćdziesięciu ludzi, oddzielonych od reszty obozu drutem kolczastym, widnieje napis: „Izolacja". Jedną trzecią część obozu zajmują długie, parterowe baraki z dwoma rzędami prycz pod ścianami.

Wobec ogromnej masy ludzi, jaka przybyła w ślad za naszym transportem, wyżywienie jest bardzo złe. Chodzi się z beczułkami do kuchni po wodnistą kaszę i czarny gliniasty chleb. Podziału jedzenia dokonuje się potem w barakach. Brak wody, nie tylko do mycia, ale także do picia. A spragnionych — wielkie rzesze. Przybyły tu, po naszym zaporoskim, także transporty ludzi z obozów w Krzywym Rogu i w Stalino. Spotkało się wielu przyjaciół z czasów kampanii wrześniowej.

Obóz w tajdze nad rzeką Wyczegda, 5 czerwca 1940.

Jesteśmy tutaj od wczoraj, po przybyciu z „peresylnego punktu": „Kotłas".

✲

Po dwóch dniach pobytu w „młynach" w obozie „Kotłas", przeniesiono nasze grupy do długich parterowych baraków, z których każdy mógł pomieścić około trzystu ludzi. Wymieszano tutaj tych przybyłych z Zaporoża z tymi z Krzywego Rogu. Z mojej grupy wagonowej znalazło się w baraku zaledwie kilku; wśród nich — Sławecki, Cybik, Justyn Sobol. Reszta to ludzie krzyworożcy.

Po takim przegrupowaniu ludzi oraz naszych „dieł", czyli akt osobowych, dnia 2 czerwca rano poczęto wywoływać kolejno według „uczotnych dieł". Następnie w małych grupach tylnym wyjściem z obozu odsyłano ludzi w dół wąską ścieżyną ku rzece Dźwinie, gdzie już na nich oczekiwały barki. Te wielkie „barże" skojarzyły się nam z... Arką Noego.

W przepastną czeluść ogromnej barki wpychano dosłownie — aby zmieścić jak najwięcej osób — sotnię za sotnią. W „mojej" barce pomieszczono w ten sposób około tysiąca sześciuset ludzi. Ścisk był ogromny. Miejsca, nie tylko do położenia się, ale nawet do stania, było nie za wiele. Wielu kolegów — którzy przezornie, mimo zakazu, zabrali sienniki z obozu w Zaporożu — uszykowało sobie przemyślnie „napowietrzne" legowiska, zawieszając sienniki niczym żeglarskie hamaki pod sufitem ładowni.

Przy wejściu na barkę stał strażnik i odliczał wchodzących. Na dachu barki był strażniczy posterunek. Przy każdym wejściu stał strażnik z bronią. Także przy wejściu do miejsca ustępowego, gdzie już od pierwszej minuty utworzył się sznur oczekujących na swoją kolejkę, uzbrojony strażnik „regulował ruch". Wielu wołało wody. Strażnicy nie pozwalali jednak na czerpanie jej z rzeki, a wody pitnej nie rozdzielano.

Napełniona po brzegi „arka" stała nieruchomo przez długi czas, a tymczasem ładowano w podobny sposób sąsiednią barkę. Robiło się coraz bardziej gorąco, coraz bardziej duszno, ale nie wolno było wyjść na dek. Strażnicy wołali natychmiast: „Nie wychadi!". Co się dzieje na zewnątrz, mogliśmy obserwować jedynie przez szpary w ścianach.

Wieczorem podszedł do barek hołownik i po jakimś czasie poczuliśmy, że płyniemy. Hołownik ciągnął barki w górę rzeki. Światła na „arkach" nie było. Z nastaniem zmroku każdy, jak mógł i gdzie mógł, przycupnął, aby się zdrzemnąć. Przed wyruszeniem w drogę dostaliśmy po solonym śledziu. To spotęgowało pragnienie do niemożliwości.

Następnego dnia rankiem podano trochę gorącej wody, „kipiatku". Kolejka po tę wodę była taka, że niektórzy dostaliby ją dopiero wieczorem. Pragnienie panowało ogromne i choć później przez cały dzień roznoszono w wielkich garach wodę (gotowaną podobno), wciąż zewsząd się domagano pić...

Żeby sobie jakoś poprawić humor, znajdujący się wśród nas młodzi Ukraińcy zaczęli śpiewać. Jeden z nich, Krawiec, próbował nawet zorganizować chór. Jednych to wszystko radowało, innych — złościło. Nie obeszło się, oczywiście, bez wzajemnych epitetów ze strony polskiej i ukraińskiej.

✲

Płynęliśmy Dźwiną Północną, a później Wyczegdą, kilka dni i nocy bez przerwy. W ciągu dnia widać było co pewien czas nieznane wsie przybrzeżne i górujące nad nimi wieże cerkiewne.

4 czerwca wczesnym rankiem przycumowała nasza Arka Noego do brzegu. Wkrótce dały się słyszeć nawoływania strażników: „Wychodzić!" Po trapie z barki na ląd wychodziliśmy pojedynczo. Bardzo długo trwało, zanim w ten sposób wyładowano tysiąc sześciuset ludzi. Nadeszła wreszcie i na mniej kolej. Trzymaliśmy się razem ze Sławeckim.

Na lądzie, po skompletowaniu każdej kolejnej setki, rozpoczynał się marsz w głąb lasu-tajgi. Do każdej setki podchodziła straż, uprzedzając zaraz na wstępie, że nie wolno się oddalać z szeregów. Przy każdej „sotni" — na przedzie, z tyłu i z boków — maszerowali strażnicy z bronią, a w pewnym oddaleniu — także strażnicy z psami wilczurami. Po kilku godzinach takiego marszu doszliśmy do ogrodzeń obozowych.

Nim na teren obozu weszły poprzednio przybyłe grupy, nadchodzący siadali na ziemi, oczekując swojej kolejki. Wywoływano nas według nazwisk — z „uczotnych dieł". Cały ich stos leżał na stoliku, przy którym siedział zawiadujący tą „operacją" strażnik. Wyczytany powstawał z miejsca i zbliżał się do ogrodzenia, a następnie był wpuszczany na teren obozu, gdzie już służba porządkowa kierowała go do odpowiedniego baraku. Wyczytywano tylko nazwisko. Wywoływany podawał wówczas także swoje imię i „otczestwo". Kiedy padło nazwisko: „Flisiński", wstałem i odrzyknąłem: „Wacław Tomaszowicz!".

W ten oto sposób znalazłem się w obozie wśród tajgi; położonym w republice Komi, nad rzeką Wyczegdą, u północno-zachodnich kresów Uralu. Wraz z moim przyjacielem Sławeckim otrzymaliśmy przydział do baraku nr 2. Następnie weszliśmy tam i zajęliśmy miejsca na pryczy.

(Koniec odcinka 8. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Mirosław Derecki

W MAJESTACIE PRAWA

Dokończenie ze str. 11

Gdy siedział już w celi skazanych na karę śmierci (w skrzydle obok baszty), matka wniosła o rewizję wyroku. Obrońcą jego był mec. Kobusiewicz. Nowy wyrok był łaskawszy: dożywocie. Na miejsce odbycia kary wskazane zostało więzienie w Strzelcach Opolskich. Na początku 1955 r. ma miejsce ponowna rewizja. Gdy lubelski sąd ogłasza zmniejszenie kary do 7 lat więzienia, skazany był już w drodze do Strzelc. Dowódcy konwoju bardzo spieszyło się z powrotem.

Były żołnierz AK „Bystry" nie jest dziś pewny niektórych dat. Tę jednak pamięta dokładnie: 4 marca 1955 r. Tego to dnia, jeszcze przed upływem wyroku, otwarła się przed nim więzienna brama. Zbliżała się „odwilż".

✲

Zaintrygowany wysokością kary, wymierzonej bohaterowi tej publikacji przez Rejonowy Sąd Wojskowy w Lublinie, sięgnąłem do archiwalnych już dziś dokumentów, by sprawdzić, czy był on „w prawie" wydać aż taki wyrok.

Z lektury „Małego Kodeksu Karnego" (wydany w 1946 r.) i „Kodeksu Karnego Wojska Polskiego" (1947) wynika, że był. A to dlatego, że pojemność pojęcia „przestępstwo" była olbrzymia. Dla zobrazowania cytat z komentarza znajdującego się w KKWP: „W nauce brak ścisłej definicji pojęcia przygotowania [przestępstwa — Z. M.] — dlatego za punkt wyjścia bierzemy negatywne przygotowania, tj. działania, nie stanowiące jeszcze usiłowania. Podpadną tu działania uboczne, pośrednie: zbieranie informacji, opracowanie planu, narada, zebrania itp.".

Natomiast art. 86 § 1: „Kto usiłuje przemocą usunąć ustanowione organa władzy zwierzchniej Narodu albo zagarnąć ich władzę, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci", w komentarzu objaśniony został, m. in. takimi przykładami: „Udział w napadzie terrorystycznym, w akcji dywersyjnej, w demonstracjach [...], choćby do poważniejszego skutku nie doszło". A gdy się przy tym pamięta o szczególnych uprawnieniach do karania przez doraźne sądy wojskowe — losy „Bystrych" stają się bardziej czytelne.

Zasygnalizowany tu temat funkcjonowania prawa w powojennym — szczególnie — dziesięcioleciu pilnie czeka na swego autora.

Zbigniew Miazga

WIELU Z ICH BYŁYCH PODOPIECZNYCH ODGRAŻA SIĘ, ŻE JAK WYJDZIE, TO SIĘ ZEMSCI...

„MEJKPISKI" Z ULICY PÓŁNOCNEJ

Violetta Krasnowska

O MILICJANTACH i ich pracy krążą różne wyobrażenia. Jedne to te z dowcipów w stylu: dlaczego milicjant chodzi z psem; inne, skrajnie różne, to telewizyjny porucznik Borewicz, który mając do dyspozycji helikoptery, gromady pomocników, szybko i sprawnie ujmuje przestępcę. Jest przy tym inteligentny i oczytany. Tłem dla jego pracy są eleganckie wille z basenami, z barkiem, biblioteką.

„W rzeczywistości to z reguły chałupa albo melina. To smród, brud i zimno" — mówią mi na powitanie kapitan Barbara Księżopolska i młodszy chorąży Gertruda Głouszek — jedyne kobiety pracujące od lat w sekcji kryminalnej Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie przy ulicy Północnej.

Obie prowadzą sprawy o najcięższe przestępstwa. Chciałam się z nimi spotkać nie dlatego, żeby zobaczyć polskie „mejkpiski" (Makepeace), lecz żeby zobaczyć i usłyszeć, jak radzą sobie kobiety w typowo męskim zawodzie, gdzie wymagana jest przede wszystkim silna kondycja psychiczna, gdzie nie można sobie pozwolić na emocje, którymi z reguły kierują się kobiety.

Barbara Księżopolska przepracowała w sekcji kryminalnej 20 lat, zaś Gertruda Głouszek — 13 lat. Mówią mi: „Nikt tutaj nie patrzy na to, że my jesteśmy słabe kobiety, nie ma dla nas żadnej taryfy ulgowej — albo damy sobie radę, albo do widzenia. Jeżeli jest na przykład zabójstwo, są odnalezione zwłoki w stanie daleko posuniętego rozkładu, to nikt nie bawi się w sentymenty i wrażliwość. My musimy po prostu robić to, co do nas należy. Chociaż zwierzchnicy uwzględniają także indywidualne uprzedzenia do pewnego typu spraw".

Kapitan Księżopolska wspomina o sprawie, którą prowadziła w 1971 roku. Było to zabójstwo siedmioletniej dziewczynki. „Jej twarz widzę całe lata, jeszcze teraz, gdy przymknę oczy"... — mówi. Od tamtej pory pani kapitan nie prowadzi żadnych spraw, w których ofiarami są dzieci. Również na te przestępstwa jest „uczulona" Gertruda Głouszek — od czasu, gdy prowadziła śledztwo w sprawie zabójstwa dziesięcioletniej dziewczynki, której zwłoki schowano w piwnicy w pudle po telewizorze. Do dziś ma silną awersję do wszystkich piwnic i nigdy nie pozwoliłaby córce samej zejść do piwnicy.

Chociaż obie mówią, że jest to praca typowa, jak każda, nie znaczy, że oswoiły się ze śmiercią. Każda śmierć, bez względu na to jaka, robi wrażenie i pozostaje w pamięci.

Barbara Księżopolska wspomina początki swojej pracy. Oglądano ją jak kuriozum: baba, już w czwartym dniu pracy jechała do Włodawy, bo zginęli ludzie. „Nikt mnie nie pytał, czy ja się dobrze czuję. Nikt nie brał tego pod uwagę. Bywało, że wracałam z pracy o północy, klnąc na czym świat stoi, a o czwartej rano telefon: dzwoni szef. »Wyspałaś się paniusia? — pytał. — Chcesz paniusia być policjantem? Samochód wyjeżdża, mamy zabójstwo«".

I tak w kółko. Splądrowane mieszkania, meliny, trupy, krew, oględziny, które trwają i trzy doby. Taką wybrały robotę, ale gdyby miały ponownie wybierać, żadna z nich nie zamieniłaby jej na inną.

Gertruda Głouszek uważała i nadal uważa, że jest to praca bardzo interesująca. Nie wyobraża sobie siedzenia za biurkiem, od siódmej do trzeciej i koniec. Rodzinę ma wyrozumiałą, często przecież przebywa w pracy tak długo, jak trzeba. Im więcej zrobi, tym szybciej zamknie śledztwo. Nie, nie są maniaczkami, które myślą tylko o pracy, choć rzeczywiście nawet w życiu prywatnym trudno jest się z niej absolutnie wyłączyć. Taka praca niesie ze sobą tylko stresy, ale z tymi nauczyły się już walczyć. Pani Gertruda zabiera się za wielkie pranie. Pani Barbara bierze koszyk i idzie do lasu, tam, gdzie prędzej można spotkać dzika niż człowieka, albo pracuje w ogródku. To pomaga.

Ich praca zawodowa niesie także niebezpieczeństwo. Niejeden z byłych „podopiecznych" odgraża się, że jak wyjdzie, to się zemści. W sprawach o morderstwa ma się do czynienia z ludźmi zdecydowanymi na wszystko. „Była kiedyś taka sprawa — wspomina Barbara Księżopolska — że zginęła kobieta. Sprawcą morderstwa był 31-letni mężczyzna, który czternaście lat spędził w zakładach karnych. Od trzynastego roku życia »zaliczał« zakłady poprawcze. Zapowiedział, że jak wyjdzie, to załatwi mnie. Niedługo ma wyjść".

Czy się boją? Wspomina Barbara Księżopolska, jak kiedyś brała udział w śledztwie w sprawie o gwałt. Prywatnie, jakby za plecami swoich szefów, wyjeżdżała z koleżanką na tereny zagrożone. Wystawiały się na „wabia"...

„Konikiem" Barbary Księżopolskiej są czynności wstępne. Dla Gertrudy Głouszek najbardziej interesujące są rozmowy z ludźmi, czyli przesłuchania. W takiej rozmowie trzeba znać „grypserę", folklor, drugie życie, znać co ważniejsze układy, „ksywy", bo jeżeli przesłuchiwany zorientuje się, że się tego nie zna, że się o czymś nie wie, to po prostu lekceważy takiego „partnera". Pani Gertruda lubi pracować z zawodowcami, nawet gdy siedzą po drugiej stronie biurka.

Nierzadko zdarza się, że po raz drugi lub kolejny spotyka się w swojej pracy tego samego człowieka. Wówczas witają się jak para starych znajomych. Rozmawiają, wspominają. Zdarza się również i tak, że od swoich podopiecznych obie panie dostają z okazji Dnia Kobiet czy innego święta kartki z życzeniami z zakładów karnych. Bo podczas długich, trwających czasem i miesiąc, i więcej, przesłuchań nawiązuje się między przesłuchiwanym a przesłuchującym więź.

Bywa również, że takiego kontaktu nawiązać się nie da, i nie dlatego, że przesłuchiwany idzie w „zaparte" lub udaje chorobę psychiczną. Pani Gertruda opowiada o sprawie, w której 25-letni mężczyzna dokonywał czynów lubieżnych na dzieciach. Mimo że podczas przesłuchania zachowywała spokój, rozmawiała grzecznie, bo od tego zależy także, czy oskarżony złoży wyjaśnienia, czy się przyzna, to jednak czuła do niego wewnętrzną niechęć i odrazę.

I przy tej okazji znowu wspomnienie pani Barbary, ale inne. Podczas jednej ze spraw naprawdę była w stanie zrozumieć sprawczynię zabójstwa i szczerze jej współczuła. Była to kobieta, która zabiła swojego męża, prawie cały czas pijanego, gdy po raz kolejny znęcał się nad sparaliżowaną córką. Tę kobietę pani Barbara była w stanie zrozumieć.

W rozmowie pojawia się coraz więcej nazwisk, starych spraw, skojarzeń, historii raz zabawnych, innym razem przerażających. Pani Barbara wspomina, jak kiedyś podczas przesłuchania została zaatakowana przez oskarżonego. Opowiada o tym spokojnie, jakby właściwie się nic nie stało.

Przypominają mi wielokrotnie, że nie są jakimiś maszynkami do łapania zbrodniarzy, nie są jakimiś superglinami. Obie kochają literaturę piękną, połykają — gdy praca pozwala, a obowiązki domowe są wykonane — nowości wydawnicze. Lubią grać w brydża. Pani Barbara kocha tanieo, pani Gertruda lubi jeździć samochodem. Normalnie, jak w życiu. Ich pracą kieruje w dużej mierze los, więc wykorzystują, jak mogą, wolne chwile. Przestępstwa dokonywane są codziennie, do nich trafiają tylko te najpoważniejsze...

LISTY - POLEMIKI

●

Zwracam się z apelem o opublikowanie w waszym piśmie tekstu POWSZECHNEJ DEKLARACJI PRAW CZŁOWIEKA.

Dokument ten, zredagowany i zaakceptowany przez cywilizowany świat już przeszło 40 lat temu, co niedawno uroczyście świętowano, poza faktem istnienia pozostaje szerzej nie znany współczesnemu pokoleniu Polaków.

Sprawa jest dla mnie doniosła z czterech, co najmniej, powodów.

POWÓD PIERWSZY. Powszechna Deklaracja Praw Człowieka jest sumą przemyśleń, które sformułowała ludzkość w niezwykle prostej formie praktycznych wniosków w następstwie wszystkiego, co doprowadziło ludzkość do potworności II wojny światowej.

Jest próbą odnalezienia zagubionego na drodze do tej wojny człowieczeństwa.

Jest chęcią zadekretowania godności człowieka — przez tę wojnę do reszty odebranej.

Jest swego rodzaju kodeksem humanizmu, w którego istnienie, w następstwie tej wojny, ludzkość miała podstawy nieodwracalnie zwątpić.

Kiedyś, przez długie lata, próbowano wmówić nam, że ten dokument, to „IMPERIALISTYCZNA DEKLARACJA ZIMNEJ WOJNY". To nadużycie winno być obnażone i naprawione. Bo to jedna z najbardziej haniebnych „BIAŁYCH PLAM". (Przepraszam za obrzydliwy modny eufemizm).

Dziś powód tego fałszerstwa jest przejrzyście czytelny, [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Upowszechnienie Deklaracji Praw Człowieka — dokumentu, którym ludzkość niejako „wyszła" z pewnej epoki, która doprowadziła do tej wojny — byłoby dla naszego narodu, w sferze moralnej, intelektualnej, rzeczywistym jej zakończeniem w 44 lata po ustaniu działań zbrojnych na naszej ziemi i w 50 lat po ich rozpoczęciu tu właśnie. [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)].

POWÓD DRUGI. Gdy dziś partia rządząca w Polsce obwieszcza chęć odcięcia się od stalinizmu, publikacja i upowszechnienie Deklaracji Praw Człowieka niewątpliwie uwiarygodniłyby te intencje, gdyż ta deklaracja jest właśnie kodeksem antytotalitarnym, więc i antystalinowskim. Mogłaby ta deklaracja stać się swego rodzaju sitem, dzięki któremu może łatwiej w sposób naturalny można byłoby odcedzać, mówiąc okrągło, „plewy totalitaryzmu" w naszym systemie politycznym, społecznym i gospodarczym. Bądź przynajmniej dałoby się wyraźniej dostrzec to, czego nam brak, gdy wciąż tak wielu „nie widzi".

POWÓD TRZECI. Przymiarka do wielkiej reformy prawa i jego instytucji w naszym kraju, chęć napisania nowej konstytucji — ustawy zasadniczej — muszą uwzględnić istnienie tego „PONAD" — ustawy naczelnej (!), jaką jest w moim rozumieniu Powszechna Deklaracja Praw Człowieka.

POWÓD CZWARTY. Rozpaczliwa sytuacja gospodarcza wyzwala w niektórych umysłach równie rozpaczliwe propozycje naprawy tejże poprzez programy, które zdają się czasem sięgać do najbrutalniejszych reguł ekonomicznych wczesnego kapitalizmu. Nie zaszkodziłoby więc zabezpieczenie podstawowych gwarancji godnej egzystencji przed ewentualnym i wcale nie niemożliwym nowym lobby reformatorów „za wszelką cenę". Taka groźba jest równie niebezpieczna jak zaniechanie reform bądź reformowanie „kosmetyczne". I istnieje, jeśli nie dziś, to w nieodległej przyszłości. Myślę, że niestety, „wisi" nad nami.

Z uszanowaniem
Henryk Sobiechart

PS. Gdyby były trudności z tekstem — Powszechną Deklarację Praw Człowieka opublikowała „Litieraturnaja Gazieta" w n-rze 4 z dn. 25 I 1989 r. Przepisywanie przez naszą prasę, za prasą radziecką, artykułów o Stalinie, Berii czy Trockim jest ważne i znaczące; preferowałbym jednak to, co łatwiej i wyraźniej kieruje nas w stronę przyszłości.

Gdyby jeszcze stało się tak, że znajdą się ludzie oburzeni na propozycję tej publikacji, niestety, nie uda się uniknąć pytania, czy miast w stronę ewoluującej Moskwy, nie znaleźli drogowskazu w kierunku Tirany. Może jednak tak się nie stanie, skoro tekst żyje sobie utajonym życiem w „Encyklopedii spraw międzynarodowych i ONZ" Edmunda Osmańczyka. Ktoś może zapytać, po co wobec tego publikować go w gazecie? Otóż dokument jest dostępny, ale tak cichaczem. Mówi się, że się go przestrzega, ale mówi się to jakoś nerwowo. (Dlaczego? — temat do oddzielnych rozważań!).

Najkrócej rzecz ujmując, trzeba, aby zaczął funkcjonować w społecznej świadomości tak, jak na to zasługuje: w pełni i bez etykietki zakazanego owocu. Czegoś nie bardzo prawomyślnego.

„SPRAWDZENIE STUDENTKI"

Z pewnym zdziwieniem przeczytaliśmy list ob. Jana Matacza, który zareagował na artykuł „Sprawdzenie studentki". Otóż chcielibyśmy publicznie zakomunikować, że z nikim o imieniu i nazwisku Jan Matacz nie mieliśmy żadnego kontaktu. Kontaktowaliśmy się natomiast z ob. Januszem Malinowskim i ewentualnie z tą osobą możemy polemizować. Pozostaje zagadką, dlaczego Jan Matacz udaje Janusza Malinowskiego. Być może chodzi tu o jakieś kwestie osobiste i ambicjonalne, które nas naprawdę nie interesują.

Natomiast jako diagnostyczną puentę chcielibyśmy w tym miejscu przytoczyć fragment listu ob. Matacza: „[...] nieprawdą jest, jakobym kiedykolwiek był orędownikiem [...] czegokolwiek, bowiem zarówno w swojej działalności publicystycznej, jak i w życiu, zajmuję się przede wszystkim zwalczaniem. W tym także kłamstwa, oszustwa oraz tzw. wciskania ludziom ciemnoty". Wszystko jasne.

Z uszanowaniem
Kazimierz Tchórzewski
Agencja „ADEPT"
Spółka z o.o.
Lublin

BIERUT: MĄŻ STANU, AGENT CZY WYKONAWCA?

Dokończenie ze str. 2—3

czy, że wierzyli nawet w to, że nauka radziecka uczyni Stalina nieśmiertelnym! A w przypadku Bieruta to już zupełnie wyraźnie widać, że on starał się, by światło płynące ze Stalina odbijało się także w jego osobie. Jego stosunek do Wodza nie ma w sobie nic koniunkturalnego, Bierut był Stalinem absolutnie zauroczony!

RYSZARD BENDER: — Fanatyzm „religijny".

JANUSZ WRONA: — No, prawie. Ci ideowi komuniści traktowali Stalina jako tego najdoskonalszego człowieka, który jest w stanie stworzyć ustrój będący pełną szczęśliwością, rajem na Ziemi.

TADEUSZ RADZIK: — Wierzyli, choć nawet sami przeszli przez obozy.

JANUSZ WRONA: — Tak, nawet wtedy.

EMIL HOROCH: — Chciałbym zwrócić uwagę na miejsce i rangę ministerstw bezpieczeństwa w krajach socjalistycznych w okresie, który omawiamy. U schyłku lat 40. zaczynają one wyrastać ponad społeczeństwo, ponad państwo i partię. Stanowią już państwo w państwie, obejmując swoim zasięgiem cały mechanizm polityczny. I doradcy w tym systemie. Zarówno w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, w Głównym Zarządzie Informacji Wojskowej, czyli kontrwywiadzie, wywiadzie, jak i w sądach wojskowych mamy całą grupę radzieckich doradców. I o ile w stosunkach między państwami socjalistycznymi dominowały uzgodnienia nieformalne, dokonywane zazwyczaj na Kremlu, o tyle w sprawach wewnętrznych decyzje wypracowywano zazwyczaj przy pomocy tychże doradców. Wojciech Lizak, badacz tego okresu, pisze o tzw. sterowaniu bocznym. Naciski szły więc nie tylko z góry, ale istniały również zależności funkcjonujące bez wiedzy i zgody kierownictwa polskiego. Kto wie, czy nie były one nawet głębsze i silniejsze?

„RELACJE": — To rozumowanie zmierza wprost do tezy, iż Bierut sam niewiele mógł, sterowany z góry i z boku, ufający towarzyszowi Stalinowi, a zatem i za niezbyt wiele ponoszący odpowiedzialność. W ten sposób można przecież rozgrzeszyć każdego winowajcę.

TADEUSZ RADZIK: — My dyskutujemy dzisiaj na fali obalania pewnych barier cenzuralnych. Zachodzi niebezpieczeństwo, iż ten zostanie uznany większym patriotą i rzetelniejszym historykiem, kto rzuci w Bieruta większym kamieniem. Nie możemy demonizować postaci Bieruta, trzeba ją sprowadzić do właściwych rozmiarów. Tak odczytuję intencje kolegów. Jeśli tak podejdziemy do tematu, postawmy sobie pytanie, czy możemy mówić o bierutyzmie w Polsce? Moim zdaniem — raczej nie możemy. Podoba mi się określenie, że Bierut był światłem odbitym Stalina. Twierdzę, że nie był on żadną indywidualnością. Indywidualnością był Tito, był również Gomułka, natomiast przywódcy partii komunistycznych w innych krajach w tym okresie na pewno indywidualnościami nie byli. Dlaczego? Dlatego, że Stalinowi niepotrzebne były osobowości, potrzebował jedynie posłusznych wykonawców, sługusów. I Bierut taki właśnie był: człowiek nijaki, bez wyraźnej osobowości, bez przeszłości, charyzmy. Starał się o pół kroku wyprzedzać strategiczne decyzje. Nie umniejsza to w najmniejszym stopniu jego personalnej odpowiedzialności.

NORBERT WOJCIECHOWSKI: — Być może dlatego nie podzielił losu Slanskyego czy Rajka...

TADEUSZ RADZIK: — Prawdopodobnie. Bierut nie był żadnym demonem. Był posłusznym urzędnikiem. I nie mówmy o bierutyzmie, bo to oznaczałoby, że jakieś szczególne piętno osobowości Bieruta zostało odciśnięte na systemie politycznym, który istniał w Polsce. Mieliśmy raczej do czynienia z polską odmianą stalinizmu. Dla mnie termin „bierutyzm" jest pewnym neologizmem, rozmywającym istotę wszechogarniającego systemu. Używając go, powinniśmy konsekwentnie mówić o „gotwaldyzmie", „pieckizmie" itp. Tymczasem stalinizm jest już pojęciem dostatecznie zdefiniowanym i znanym.

RYSZARD BENDER: — Jeśli my nie będziemy mówili o bierutyzmie w Polsce, to dajmy spokój działalności Bermana, Minca, Radkiewicza i innych. Zgadzam się, że trzeba szukać źródeł, że trzeba traktować Bieruta w całym ówczesnym kompleksie politycznym, ale nie należy przy tym wszystkim wydłużać nadmiernie dystansu do sprawy. Bierut był człowiekiem inteligentnym, jego „legitymizacyjne" przedsięwzięcia (mówiliśmy o nich) na to wskazują; był równocześnie na tyle cyniczny, aby na sygnał burzyć to, co sam układał. Bierut godził się świadomie firmować poczynania swojej ekipy. Dawał swój szyld decyzjom Stalina, ale i własnych ludzi. To, że w czasach rzymskich Herod działał w Ziemi Świętej, nie oznacza przecież, że robił wszystko w imieniu cesarza. Był nadgorliwy, starał się zachować łaskawość imperatora. Bierut również dbał o to, żeby nie zostać podejrzanym o jakąkolwiek nielojalność.

TADEUSZ RADZIK: — Jeżeli był tylko inteligentnym i tylko posłusznym wykonawcą, to czy nadal możemy mówić o bierutyzmie?

RYSZARD BENDER: — Tak, bo on firmował wszystkie działania, własne i innych. Robił to z własnej woli i wyboru.

TADEUSZ RADZIK: — Ale tylko firmował, nie wytyczał kierunków.

„RELACJE": — Może spróbujemy się zastanowić, na ile Bierut, wykorzystując posiadany zakres swobody, wykreował w Polsce jakiś specyficzny model sprawowania władzy.

TADEUSZ RADZIK: — To jest pytanie do pana profesora Bendera.

RYSZARD BENDER: — Dlaczego do mnie, chyba do wszystkich? Wykreował system kamuflażu politycznego, z cyrkowymi łamańcami od hurra-rewolucji internacjonalnej do orłów na czapkach i przedwojennych instytucji. System wielkiego kłamstwa, zachowywania pozorów gry w coś zupełnie innego, niż się gra.

EMIL HOROCH: — To jest bardzo ważne pytanie: na ile Bierut był suwerenny w swoich posunięciach? Nie wiadomo, na przykład, jak precyzyjnie określano mu dyrektywy w Moskwie i na ile był gorliwy w ich wykonaniu po powrocie do Warszawy? Bierut miał zwyczaj bardzo wnikliwego i długiego zapoznawania się z aktami procesowymi, choć Ministerstwo Bezpieczeństwa nalegało na pośpiech. Czy robił to celowo, czy może jedynie z wrodzonej pedanterii. Faktem jest, że kolektywizacja w Polsce się nie powiodła, była robiona powoli i jakby bez przekonania. Nie skazano na śmierć Gomułki, choć Stalin chciał mieć polskiego Rajka. To są wszystko znaki zapytania, lecz znów pojawia się bariera zamkniętych archiwów.

Pełnego wyjaśnienia wymaga również rola, jaką odegrał Bierut jako przewodniczący Komisji Biura Politycznego do spraw Bezpieczeństwa. Komisji, w której był Bierut, wiceministrowie MBP, a która nie zebrała się nigdy w pełnym składzie. I znowu dla historyka podstawowy problem — dostęp do materiałów tej komisji, materiałów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i archiwów radzieckich.

HENRYK MIODUCHOWSKI: — Natknąłem się w swej pracy na przypadki, kiedy wstawiennictwo Bieruta prowadziło do uwolnienia ludzi aresztowanych. Te prośby do niego jako prezydenta czasami odnosiły jednak skutek. Są relacje ludzi, m.in. Wandy Papiewskiej i Zofii Koter. W muzeum jest chyba sześć listów Papiewskiej z prośbami o interwencję i podziękowaniami za załatwienie sprawy. Rozmawiałem wiele razy z Wandą Górską, sekretarką Bieruta, i ona tego typu historie potwierdza. Jaki to był procent spraw? Tego niestety nie wiemy. Jeżeli idzie o Gomułkę, to odnoszę wrażenie, że po zatargu z Biurem Informacyjnym Stalin zdecydował o jego odsunięciu i postawił Bieruta. Ten jednak sprzeciwiał się śmierci Gomułki. Wedle relacji Wandy Górskiej, pewnego dnia przyjechało z Moskwy dwóch generałów NKWD z propozycją przewiezienia Gomułki do Moskwy. Bierut miał powiedzieć: „Ależ, panowie, on przecież jest w szpitalu, to byłoby niehumanitarne!". Podobno nie sprzeciwiając się, obaj panowie odjechali... Podobnie zachowywał się Bierut w czasie wizyt ambasadora radzieckiego, na przykład, gdy chodziło o tempo kolektywizacji. Zmyślał wtedy dane, kręcił, odwlekał. Z drugiej jednak strony, świadczy to o iluzorycznej suwerenności ówczesnej Polski.

NORBERT WOJCIECHOWSKI: — Ponieważ zbliżamy się jednak ku końcowi naszej dyskusji, chciałbym swój udział w niej zamknąć takim stwierdzeniem: odpowiedzialność Bieruta za stworzenie w Polsce podstaw systemu totalitarnego oraz represje jest rzeczą niewątpliwą. Skutki poczynań Bieruta i jego ludzi widoczne są do dzisiaj, nie tylko w postaci monumentalnych i nazewniczych symboli. Nauczono nas pewnych schematów myślenia i nawyków postępowania. Musimy się z nich wyzwolić, musimy uwolnić się od totalitarnego sposobu myślenia, jeśli mamy tworzyć nowe społeczeństwo, jeśli to wszystko, o czym się rozmawia przy „okrągłym stole", ma mieć w przyszłości sens. Jeżeli mamy odbudowywać wiarę i zaufanie do człowieka, to nie będą temu sprzyjać posągi dawnych bogów, urągające swoim ofiarom...

HENRYK MIODUCHOWSKI: — Według mnie, działalność Bieruta nie była działalnością dwulicową. Wierzył w to, co robił i mówił. Nie wiedział lub mało wiedział o przegięciach i masowych mordach w ZSRR. W 1955 roku rozpoczął walkę z wypaczeniami w Polsce. Bierut wniósł duży wkład w walkę o zachowanie granic Polski, jak też rehabilitację KPP.

Mówiąc o zbrodniach stalinowskich, trzeba pamiętać, że pierwszymi ich ofiarami byli członkowie KPP, a następnie i inni. Proponuję więc uczczenie ofiar stalinizmu tak, aby to uczczenie nie dzieliło Polaków, a ich łączyło. Proponuję umieszczenie tablicy pamiątkowej w Muzeum na Zamku dla uczczenia wszystkich stalinowskich ofiar z KPP, innych partii oraz bezpartyjnych.

JANUSZ WRONA: — Nie jestem pewien, czy opcja ta znajdzie taki odzew, jak opcja p. Wojciechowskiego. Myślę, że co do symboli, to zgodzimy się, że jest najłatwiej je usunąć. Trudniej jest ze świadomością. Trzeba stworzyć warunki dla badaczy, dla zobiektywizowanego spojrzenia na przeszłość. Zobiektywizowanego — bo obiektywnego nie osiągniemy przecież nigdy. I musimy domagać się źródeł! Po to również, żeby te dzisiejsze białe plamy nie stawały się z kolei plamami czarnymi.

TADEUSZ RADZIK: — Zwróćcie panowie uwagę, na kogo się w tej naszej dyskusji powołujemy, na jakie źródła? Na Torańską, na Jeziorańskiego, na Światłę... Przecież to są pozycje, które de facto na naszym rynku nie istnieją. A dawno powinny się tam znaleźć. I o to też należy występować.

RYSZARD BENDER: — I o to, i o otwarcie archiwów!

JANUSZ WRONA: — Przede wszystkim wykorzystajmy te możliwości, które już istnieją. Od trzech lat w Centralnym Archiwum KC PZPR jest dostępny historykom zespół dokumentów pod nazwą „Archiwum Bolesława Bieruta". Zawiera szereg cennych materiałów ilustrujących jego działalność w PRL. Oczywiście, te materiały, które udostępniono i które przejrzałem, nie dają odpowiedzi na szereg pytań, jakie dzisiaj w trakcie dyskusji postawiono. Pozwalają jednak lepiej poznać sylwetkę psychologiczną Bieruta. Po przejrzeniu tych archiwów, Bierut jawi mi się jako człowiek o rozdwojonej osobowości, jako polityczny schizofrenik. W jednym miejscu zaznacza i notuje, żeby nie ulegać sentymentalizmowi przy wyrokowaniu, niżej zaś pisze, że praworządność to fundament państwa i należy zlikwidować niedozwolone metody stosowane w śledztwach. Itd.

„RELACJE": — Dziękujemy panom za czas wspólnie spędzony w redakcji w przekonaniu, iż nie był to czas zmarnowany. Przy tym stole pomnika Bieruta nie rozebraliśmy, choć takie nie znaleźliśmy istotnych społecznie powodów, dla których został postawiony w 1979 roku. Takie symbole nie wydają się nam, Polakom, potrzebne. Nie łączą bowiem, a dzielą. Groźniejsze jednak niż pomnik Bieruta są inne relikty tamtej epoki, gęsto zabudowujące naszą świadomość zbiorową. I bez ich właśnie usuwania — jak powiedział pan profesor-poseł Bender — nie potrafimy się obronić przed przeszłością. Jeszcze raz — dziękujemy!

Spisali i podali do druku:
Waldemar Piasecki
Leszek Wiśniewski
Fot. Waldemar Stępień
i Archiwum

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:
6.04—9.04 godz. 19: „Mandat" Nikołaja Erdmana; reż. Andrzej Rozhin.
12.04. godz. 19: „Białe małżeństwo" Tadeusza Różewicza; reż. Andrzej Rozhin.
6.04.—8.04. godz. 16 (scena Reduta): „Poodbiednie igraszki" Romy Mahieu; reż. Jacek Gierczak
11.04—12.04 godz. 17 (scena „Reduta"): „Worek Judaszów" — monodram w wykonaniu Joanny Morawskiej.

Teatr Lalki i Aktora:
6.04—7.04; 11.04—12.04: występy gościnne — „Don Żan"; reż. Tomasz Jaworski
9.04 godz. 12: „Rumcajs" Ernesta Brylla; reż. Wojciech Kobrzyński

Teatr Muzyczny:
10.04 godz. 18 (Dom Kultury LSM ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę", „Salon pana Wzdęckiego" Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.

MUZYKA

6.04—7.04 godz. 19 w **Państwowej Filharmonii Lubelskiej**, 8.04 godz. 17 w **Domu Chemika w Puławach**: koncert Orkiestry Symfonicznej Konserwatorium z Lyonu (Francja). Solistka — Naoko Nagai-Corbi (fortepian). Kierownik orkiestry — Emile Pannetier. W programie: Koncert fortepianowy e-moll op. 11 F. Chopina, „Arlezjanka" I i II Suita G. Bizeta, „Bolero" M. Ravela.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988".
— wystawa pt. „Portret w twórczości medalierskiej i numizmatycznej Ewy Olszewskiej-Borys".
Muzeum Wsi Lubelskiej (gościnnie w siedzibie „Desy" Krak. Przedm. 58) — wystawa przedmiotów z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć".
Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa grafiki Mirosława Piotrowskiego pt. „Akwaforta z akwatintą" (czynna do 15.04).
BWA (ul. Narutowicza 4):
— 11.04 godz. 18: otwarcie międzynarodowej poplenerowej wystawy rzeźby pt. „Dotykanie materii — Orońsko '89".
— 12.04 godz. 18: otwarcie wystawy fotografii Zygmunta Rytki pt. „Obiekty chwilowe".
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a): 7.04 godz. 18 — otwarcie wystawy rzeźby, instalacji i dokumentacji grupy artystów z Norwegii.
Galeria „Labirynt 2" (ul. Grodzka 3): wystawa Andrzeja Dłużniewskiego pt. „Zaczepy".
Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa prac Aliny Szapocznikow.
Galeria „Pod Akacją" (ul. Grodzka 11): 11.04 godz. 18 wystawa rysunku satyrycznego Leszka Mędrala.
Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34): 7.04 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa Stanisława Popka zorganizowanej z okazji 30-lecia pracy. Poezje Stanisława Popka czyta Stanisław Klimaszewski, śpiewa wg. własnej kompozycji Marian Stawecki.
Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Zygmunta Bobolowicza (czynna do 10.04)).

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — pokonkursowa wystawa pt. „Sztuka ludowa południowego Podlasia '89".
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Marka Rypina i Mirosława Gromady.

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria „Es" — wystawa fotografii Andrzeja Michałowskiego.

W CHEŁMIE

Muzeum Okręgowe: 6.04 godz. 17 — otwarcie wystawy pt. „ZDA(E)RZENIE", której autorami są Fausta Kajka-Pyś i Mirek Pyś.

W ZAMOŚCIU

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa grafiki i ekslibrisu Romana Muchy.
BWA — wystawa rzeźby i rysunku Bożenny Biskupskiej.

„GARDZIENICE" W WIELKIEJ BRYTANII I IRLANDII

Znany bardziej chyba za granicą niż w Polsce, teatr „Gardzienice" niebawem wyjedzie do Wielkiej Brytanii i Irlandii. W drugiej połowie kwietnia w Dartington College odbędzie się sympozjum poświęcone środowisku naturalnemu teatru, ekologii sztuki, czyli jednej z naczelnych idei „Gardzienic". W ramach sympozjum przewiduje się spektakl „Awwakum", demonstracje sposobów pracy „Gardzienic" (między innymi „Zgromadzenia", a także, dla wybranych uczestników, sympozjum „Zgromadzenie — Warsztat"). Pod koniec kwietnia i na początku maja „Gardzienice" zaprezentują „Awwakuma" w Cardiff, Glasgow i Brighton. Wyjazd „Gardzienic" (jesienią tego roku) do Irlandii będzie zwieńczeniem pracy nad nowym przedstawieniem opartym na legendzie o Tristanie i Izoldzie oraz poezji ze zbioru „Carmina Burana".

Oprac. A. W.

OGŁOSZENIE

EKSPRESOWA instalacja anten. Pocztowa (pawilon 6).

6445/G-3

TV

Czwartek — 6 kwietnia

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafisz
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Ośmiornica" (4) — serial prod. wł.
10.30 Domator: To się może przydać
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Polskie zdroje — Piwniczna
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Edisonowie" (11)
17.15 Teleexpress
17.30 Patrol — wojskowy magazyn publicystyczny
17.55 Partner — program publicystyczny
18.20 Sonda. Tęcza
18.50 Dobranoc: Pająk Chwat, wszystkich brat
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Ośmiornica" (4) — serial prod. wł.
21.10 Pegaz — magazyn aktualności kultualnych
22.00 Studio sport: Po pucharach
22.15 „Polityka, politycy" — program Andrzeja Bilika
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język francuski (23)

Program II

16.55 Język francuski (23)
17.25 Program dnia
17.30 Rodzice i dzieci
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Strachy na Lachy" (2) — serial prod. ang.
19.30 Puls — magazyn medyczny
20.00 Demokracja po polsku — program publicystyczny
20.40 Waligórski kontra dyrektor teatru — reportaż
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne Dwójki: Stanisław Grochowiak „Hotel pod kulą ziemską". Reż. Wojciech Biedroń
22.35 Komentarz dnia
22.40 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter

Piątek — 7 kwietnia

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnia domowa
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Sto pierwszy" (1) — film prod. radz. Reż. W. Kostromienko
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Mieszkać: Wszechnica budowlana
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.45 „4 lipca o świcie we Lwowie" — film dok. Mariana Bekałły
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Franciszek Ziejka „Narodziny i dzieje legendy, czyli rzecz o Panoramie Racławickiej". Reż. Stefan Szlachtycz
22.10 Czas — magazyn publicystyczny
22.45 Szkoła mistrzów: Jerzy Skolimowski
23.00 Dt — echa dnia
23.15 „Ludzie przeciw sobie" — „II wojna światowa" (1) — serial dok. prod. franc.

Program II

16.55 Język angielski (52)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie" (14) — serial TVP
19.30 Dookoła świata: W kraju pachnącym piołunem
20.00 Brawo — magazyn Barbary Pietkiewicz
20.40 Opolskie Konfrontacje Teatralne — reportaż
20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka: Wśród bogów i bohaterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Sport: Puchar Davisa (CSRS — RFN)
22.10 Filmy Johna Hustona: „Sokół maltański" — film prod. USA. Wyk.: Humphrey Bogart, Mary Astor, Sidney Greenstreet
23.25 Komentarz dnia

Sobota — 8 kwietnia

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Kino najmłodszych: „Złotowłosa" — film prod. CSRS
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze — mag. muzyczny
11.05 Azymut — wojskowy mag. publ.
11.35 Telewizyjny koncert życzeń
12.05 Wędrówki dalekie i bliskie: „Piotr Parler — artysta i jego dzieło" — film dok. prod. CSRS
12.30 Telewizyjny Teatr Prozy: Fiodor Dostojewski — „Bracia Karamazow"
15.10 Program dnia
15.15 Komedie, komedie, komedie: „Filip z konopi"
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Flesz — program rozrywkowy
17.15 Teleexpress
17.30 Portrety: „Gdybym sam nie poszedł, kto poszedłby ze mną" (prof. Rudolf Ranoszek) — film dok. Zbigniewa Bożyczki
18.30 Butik — mag. Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Jeż Kleofas
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Dymorfizm
19.30 Dt
20.05 „Szpital" — film fab. prod. USA
21.45 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy oraz Mistrzostwa Świata w tenisie stołowym Dortmund '89
22.35 „Szafa" (1) — program o modzie
23.20 Dt — wiadomości
23.25 Jutro w programie
23.30 — 0.15 Kino sensacji: „Mściciele" (2): „Blask ognia" — serial prod. jap.

Program II

14.45 Program dnia
15.00 Małe kino: „Miasta świata — Bruksela" — film dok. Grzegorza Dubowskiego
15.30 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
17.00 Studio sport: Puchar Davisa (CSRS — RFN)
18.00 **Telewizyjna Panorama Lubelska**
18.30 Wielka gra
19.30 Dziewczyna miesiąca
20.45 Perkusje, fortepiany i... — program muzyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Raj odłożony na później" — odc. 11 (ostatni) pt. „Dziedzictwo Simcoxów" — serial prod. ang.
22.35 Komentarz dnia
22.40 — 23.10 „W labiryncie" — odc. pt. „Pojednanie" — serial TP (powt.)

Niedziela — 9 kwietnia

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „Szwajcarscy Robinsonowie" — serial prod. kanad.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Wspólnota Pacyfiku" (6): „Dla bogatych i dla biednych" — serial dok. prod. ang.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 Magazyn „Morze"
13.10 Teatr Młodego Widza: John Ronald Reuel Tolkien — „Pogromca smoków" (2)
13.55 Program dnia
14.00 Marek Sierocki zaprasza
14.25 Fotomagazyn „Powiększenie"
15.00 Pieprz i wanilia: Nieznany kraj — Łowcy bizonów
15.40 „Katarzyna" (2) serial prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport: MŚ w tenisie stołowym Dortmund '89
18.00 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty: „ABBA"
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Rzeka kłamstwa" — odc. 6 serialu TVP
21.35 Raport — 7 dni
21.45 Sportowa niedziela
22.45 Znaki" — film dok. Tadeusza Makarczyńskiego
23.10 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.15 Dt — wiadomości
23.20 Jutro w programie

Program II

9.15 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
9.50 Film dla niesłyszących: „Rzeka kłamstwa" — serial TVP
11.15 Peryskop — wojskowy program publ.
11.45 Jutro poniedziałek — mag. spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino familijne: „Dom" — odc. 3 i 4 pt. „Ucieczka", „Nowy dom" — serial prod. CSRS
13.20 100 pytań do...
14.00 Polacy — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Powiązania" (8): „Jedzcie, pijcie i weselcie się" — serial dok. prod. ang.
15.35 Nowe organy Kościoła Mariackiego
16.05 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.20 Studio Hi-Fi
16.35 Studio sport: Puchar Davisa (CSRS — RFN)
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Orkiestra przyjaźni Zgorzelec — Goerlitz
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Studio Hi-Fi
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny" (4) — serial prod. USA
22.45 Komentarz dnia
22.50 — 22.55 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter

Poniedziałek — 10 kwietnia

Program I

16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Zwariowane rekordy
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 „27 do tablicy" (1)
17.40 Echa stadionów: Piłkarska kadra czeka
18.30 Laboratorium: Echo
18.50 Dobranoc: Nie chcę być leniuchem
19.00 „27 do tablicy" (2)
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji na Świecie: Siergiej Michałkow „Bałałajkin i spółka"
22.15 „27 do tablicy" (3)
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język niemiecki (22)

Program II

16.55 Język niemiecki (22)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Sanok, Przemyśl, Jarosław, Rzeszów
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 Życie muzyczne: Poznańska Wiosna Muzyczna — festiwal polskiej muzyki współczesnej — reportaż
20.00 Program rozrywkowy
20.30 Osądźmy sami
21.15 Zamyślenia — program Haliszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 W rytmie rocka — reportaż
22.15 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie" (2) — serial prod. franc.
23.10 Komentarz dnia

Wtorek — 11 kwietnia

Program I

8.35 Domator: Rady na życzenie; Chcę schudnąć dla zdrowia i urody
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (2) — „Hutmistrz" — serial prod. CSRS
10.35 Domator: Rady na życzenie
16.00 Program dnia: Dt — wiadomości
16.05 Relacje ze Zjazdu Kółek Rolniczych
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż (28) — serial prod. austriac.
17.15 Teleexpress
17.30 „Adwokat z Old Bailey" (5) — „Błękitny Serafin" — serial krym. prod. ang.
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 Dobranoc: Dwa małe trzmiele
19.00 10 minut
19.10 Telewizyjny Klub Konsumentów „Stop"
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (2) — „Hutmistrz" — serial prod CSRS
21.00 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.25 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S"
22.20 Zawsze po 21-szej — magazyn reporterów
23.00 Dt — echa dnia
23.20 Język angielski (23)

Program II

16.55 Język angielski (23)
17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości" — „U progu sztuki współczesnej" (5) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 „Epopeja czerwonego krzyża" — film dok. prod. szwajcarsko-francuskiej
19.30 Studio sport
20.00 Non stop kolor: „Eric Clapton i przyjaciele" — film prod. amerykańsko-angielskiej
21.00 Powtórka z historii — Bolesław Bierut (1)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dorastanie" (7) — „1978—80" — serial TVP
22.55 Komentarz dnia

Środa — 12 kwietnia

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta: Szkoła dla rodziców
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dzikie psy" — film fab. prod. kubańskiej
10.50 Domator: Przyjemne z pożytecznym
15.55 Program dnia. Dt — wiadomości
16.00 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.10 Scena TDC
16.35 Dla dzieci: „Wyprawy prof. Ciekawskiego"
17.00 Studio sport: Mecz piłki nożnej: Polska — Rumunia ok. 17.45 Teleexpress (w przerwie meczu)
18.50 Dobranoc: Piastusiowy pamiętnik
19.00 10 minut
19.10 Relacje ze Zjazdu Kółek Rolniczych
19.30 Dt
20.05 „5 minut przed gwizdkiem" — film fab. prod. pol.
21.30 Bogusław Klimczuk: Kontynuacja
22.00 Raport
22.35 Rozmyślania prof. Mariana Stępnia
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język rosyjski (24)

Program II

16.55 Język rosyjski (24)
17.25 Program dnia
17.30 Wiem wszystko — teleturniej
18.00 **Telewizyjna Panorama Lubelska**
18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów Programu II
19.00 II Rzeczpospolita nieznana — Stalowa Wola i inne miasta COP-u
19.45 Etiopia — program dok.
20.15 Klucz do nowej muzyki — o twórczości Krystyny Moszumańskiej-Nazar
21.05 Opolskie Konfrontacje Teatralne
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się" (15) — „Morderca działa nocą" — serial krym. TVP
23.00 Telewizja nocą
23.45 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 476. 24.03.89 r. B-4

POLSKIE GOSPODARSTWO

HUZIA NA JÓZIA (ORAZ BOLKA I LOŃKA)

Andrzej W. Pawluczuk

ROZLICZANIE władzy znowu idzie pełną parą i, jak to zwykle u nas, rozliczana jest władza, która już od dawna nie rządzi. Tym razem na tapecie jest tow. Tomasz, czyli Bolesław Bierut — postać znana w Lublinie jeszcze burżuazyjnym, zaś w Lublinie socjalistycznym wyniesiona na cokoły, uświetniona nazwą placu, dużej ulicy i bardzo dużej fabryki. Żyją jeszcze w Lublinie ludzie, którzy z towarzyszem Tomaszem byli po imieniu, pracowali w jednym zakładzie i wspominają go jako układnego i kulturalnego młodzieńca. A i ja sam, którym wzrastał w okresie błędów i wypaczeń, do dzisiaj noszę w umyśle zakonotowany obraz prezydenta, który dobrotliwie nachyla się nad gromadką ufnej dziatwy.

Taaak... stanowczo ten mały pan o nieśmiałym uśmiechu nie pasuje do wizerunku, który się o nim upowszechnia we wszystkich gazetach i czasopismach wydawanych przez RSW „Prasę — Książkę — Ruch", nie pasuje do tych butów, które mu szyją gazety jak najbardziej prorządowe. Bo — zważmy — gazety bardziej niezależne o Bierucie w ogóle nie piszą, ten pan ich nie interesuje, bo wie się tam dobrze (tzn. w tych gazetach), że o Bierucie można co najwyżej mówić jako o symbolu tamtych czasów, nie zaś jedynym sprawcy tych wszystkich nieszczęść, jakie w latach 1944—56 dotknęły nasz naród.

Gdyby nie było wówczas towarzysza Tomasza, byłby na jego miejscu jakiś towarzysz Zenon, być może trochę bardziej lub trochę mniej liberalny, ale — w sumie — taki sam bezwolny wykonawca woli Stalina jak w pozostałych krajach tzw. demokracji ludowej. A jeżeli wszędzie, od Bałtyku po Dunaj i Morze Czarne, było tak samo, to pora powiedzieć sobie, że nie tylko Bierut jest tu winowajcą.

A więc — kto? System? O nie! To byłoby za proste, za łatwe, to byłoby mydlenie oczu i odwracanie uwagi od rzeczywistych sprawców tamtej rzeczywistości. Tak to bowiem bywa, że najwygodniej zwalić winę na tych, co pomarli, a więc na cyklistów, Józia, Bolka czy Leonida, albo na okoliczności zewnętrzne, od których nie było odwołania. Nie było, to prawda, ale elementarne poczucie sprawiedliwości, ba! socjalistyczny humanizm wymaga, aby ludzie wówczas torturowani, aby rodziny wywiezionych i zamordowanych w majestacie prawa (tak, tak!) otrzymali dzisiaj jakieś zadośćuczynienie.

Myślę zaś o zadośćuczynieniu głównie moralnym, o prostej, zwyczajnej satysfakcji przede wszystkim z tego, że wskaże się palcem tych, którzy tak chętnie ferowali wyroki śmierci, którzy odpowiedzialni są za ówczesny terror, a dzisiaj, obwieszeni orderami, żyją na wygodnych emeryturach, w wygodnych mieszkaniach i, w przeciwieństwie do dziewięćdziesięciu procent polskich emerytów, nie martwią się, jak dożyć do pierwszego. Może tak by się przyjrzeć tym obrońcom wolności i demokracji, którzy śmieją się w kułak, gdy na zebraniu ZBoWiD spotkają tych, którzy podczas wojny gnili w lasach.

Ostatnio w jakiejś gazecie (nie pamiętam jakiej, gdyż nie mam już zdrowia do tych wszystkich wykrętów) przeczytałem, że to nieprawda, jakoby do ZBoWiD nie przyjmowano legionistów. Prawda! Mój dziadek, który w książeczce wojskowej (chętnie pokażę ją komu trzeba) ma napisane, że brał udział w „wojnie przeciwko bolszewikom", usłyszał, że nie może należeć do organizacji bojowników o demokrację, ponieważ walczył o utrzymanie w Polsce ustroju kapitalistycznego. Bo, proszę państwa i towarzyszy, nie to urąga dzisiaj sprawiedliwości i dobremu smakowi moralnemu, że w centralnym punkcie Lublina stoi wielki pomnik Bolesława Bieruta. Urąga natomiast to, że ci, co walczyli o demokrację, bijąc w pięty i wyrywając paznokcie, żyją lepiej od tych, którzy naprawdę walczyli o wolną Polskę. Że ci, którzy po powiatach i województwach rządzili terrorem i pałką, mają się lepiej od milionów robotników i chłopów, z których pracy żyli wówczas i żyją nieźle dzisiaj.

A skoro różnego rodzaju weryfikacje i atestacje znalazły już trwałe miejsce w polskim życiu publicznym, to — może zweryfikujemy co poniektóre ordery, emerytury, nadmetraże i apanaże.

Przykład ZBoWiD jest tu oczywiście symboliczny, wszak zastanawiające jest, że tak łatwo godzi się ten system z kompletną krytyką Bieruta, a nie pozwala na to, aby w jednej organizacji zrobiono wreszcie porządek. Cóż, uwalanie błotem towarzysza Tomasza nikomu nie zagraża, nie narusza niczyich interesów. A ruszenie ZBoWiD? I na tym to ciągle polega, każdy dotychczasowy przełom był w tej mierze podobny. Zwalano winę na tych, którzy odeszli, rozliczano tych, którzy pomarli, zdejmowano z pomników tych, którzy nie mogli protestować.

Dlatego uważam, że lubelski pomnik Bolesława Bieruta powinien zostać tam, gdzie stoi. Ku pamięci, niech wszyscy widzą i wiedzą, że był taki prezydent, na którego rękach jest krew Polaków. Niech wszyscy pamiętają, że była w PRL władza, która ten pomnik wzniosła dlatego, że Bierut był dla niej wzorem. Niech nauczyciele historii przyprowadzają pod ten pomnik dziatwę i dają lekcje.

Bo historia narodu to jest pamięć o całej przeszłości. Bierzmy przykład z Finlandii, gdzie do dzisiaj stoją pomniki cara Aleksandra i nikomu nie przychodzi do głowy, aby je burzyć. Ponieważ to nie pomniki zagrażają naszej narodowej pomyślności. Groźne jest to np., że wraz z rehabilitacją generała Fieldorfa nie poszły takie zmiany w systemie, które by raz na zawsze uniemożliwiły skazanie kogoś na śmierć z powodów politycznych Ba, nie tylko na śmierć, bo w przyzwoitym państwie nie powinno się skazywać nawet na grzywnę kogoś, kto ma inną, niż władza, wizję ustroju.

Więc niechaj sobie Bolesław Bierut stoi i spogląda dobrotliwie na przechodniów. My i tak wiemy swoje. A skoro wiemy, to po co wydawać dodatkowe pieniądze na demontaż tego monumentu? Lepiej przekażmy je na dom dziecka. Albowiem zadośćuczynieniem za bierutyzm mogą być tylko takie zmiany systemowe, które powtórzenie się kolejnego totalitaryzmu absolutnie wykluczą. Tak, tak... wiem, co mi zaraz powiedzą na to sceptycy: niczego wykluczyć się nie da. Ale pomarzyć można chyba?

KTO JEST KIM W REGIONIE

PRZYLEPA Marian. Lat 46. Żonaty. Żona Teresa. Dwie córki: Katarzyna (II LO im. J. Zamoyskiego) i Agata (szkoła podstawowa). Po ukończeniu studiów pracownik Instytutu Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej w Lublinie. Dr medycyny. W latach 1967—72 działacz Rady Okręgowej ZSP w Lublinie, szef „Almaturu". Od 1981 roku dyrektor Państwowego Szpitala Klinicznego nr 4.

Z samej istoty wykonywanego zawodu wynika podstawowe przesłanie jego życia — służyć ludziom. Hobby to turystyka, szczególnie jazda na nartach. Wolne chwile lubi spędzać na działce.

URBAN-MIESZKOWSKA Maria. Mężatka. Mąż Rudolf. Syn Paweł (student Wydziału Stomatologii Akademii Medycznej w Lublinie). Malarka. Absolwentka Szkoły Malarstwa i Rysunku w Lublinie. Wystawy w kraju i za granicą — praktycznie na całym świecie (Kanada, USA, Nowa Zelandia, Japonia, RFN, Szwecja, Szwajcaria, Włochy). Ostatnio jej obrazy ukazały się jako pocztówkowe reprodukcje. Współpracuje stale z firmą Ars Polona. W najbliższym czasie wybiera się do Japonii.

„Moja twórczość jest związana z dziećmi i z radością — mówi. — A poza tym, jak każda kobieta, za najważniejsze obszary życia uważam dom, rodzinę i pracę".

WILGAT Tadeusz. Lat 72. Żonaty. Żona Krystyna. Dwoje dzieci: Maria i Jan. Profesor zwyczajny. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (1939). Doktoryzował się na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UMCS (1948). Autor wielu publikacji i opracowań dotyczących hydrologii i ochrony środowiska, także podręczników kartografii i geografii astronomicznej.

Przeciwnik energetyki jądrowej na ziemiach polskich. Uważa, że ani stan materialny państwa, ani poziom jego rozwoju technologicznego nie gwarantują w tej dziedzinie sukcesów.

Jest zdania, że jeśli człowiek robi to, co lubi, i robi to uczciwie, to działania takie muszą przynieść satysfakcję i owocować wymiernymi korzyściami.

POLSKA NORMA

MÓJ PROGRAM ATOMOWY

Waldemar Piasecki

W POLSCE mamy aktualnie taką sytuację, że każdy powinien mieć swoje zdanie w kwestii energetyki atomowej. Wypełniając ten społeczny i obywatelski obowiązek, zeznaję, co następuje.

Mamy w kraju bryndzę energetyczną, która ujawnia się szczególnie widocznie, gdy występuje typowa dla naszego klimatu zima, czyli taka z temperaturami minus 10-15°C. Wówczas radio ogłasza komunikaty o stopniach zasilania, brzmiące jak meldunki z frontu, na którym wycofujemy się na z góry upatrzone pozycje, a poza tym wszystko się zgadza. I głos spikera (ciekawe, że te meldunki podają zawsze mężczyźni), i sama retoryka oraz dekoracja semantyczna (Krajowa Dyspozycja Mocy — czy to nie śliczne?) mają charakter wojenny, dostojnie dęty i tajemniczy zarazem.

Tajemniczość ta dała znać o sobie, kiedy chyba w Boże Narodzenie 1987 roku lub blisko tej daty (na tyle blisko, że w głowie mojej córki pobrzmiewały jeszcze kolędy), gdy z radia popłynął kolejny komunikat Dyspozycji Mocy, dziecko spytało, czy to chodzi o tę samą moc, co w śpiewaniu przy choince („Bóg się rodzi, moc truchleje"). Skojarzenie to przyprawiło mnie o chwilowe struchlenie, bo oto dzieciak odebrał Dyspozycję jako twór pozaziemski, niebiański. Skąd był już krok do sformułowania poglądu, że światło wyłącza nam w mieszkaniach Pan Bóg, a nie, powiedzmy, Dyspozytor Maliniak.

Zresztą polityka tych wyłączeń bywa czasem zaiste taka, że mogą wystąpić domniemania udziału sił wyższych. Kiedy na przykład pośród ciemności wyłączonego jednego z osiedli LSM dwa domy jarzą się jasno. Naturalnie, ma to dość luźny związek z Niebem, za to dość oczywisty z listą Lokatorów. I w zasadzie problemem nie jest samo wyłączenie, a takie wyłączenie, żeby wyłączyć większość, pozostawiając wybraną mniejszość nadal podłączoną. Do Mocy.

Jak wiemy, Moc bierze się w Polsce z węgla. Dlatego mamy ekologicznie zdegradowany kawał kraju, spod którego ten surowiec się wygrzebuje, a następnie w elektrowniach zamienia w Moc. Oczywiście elektrownie wyrzucają w powietrze tysiące (miliony?) ton pyłów i substancji trujących, a to, co się nie spali, idzie na hałdy. Węgiel nie tylko zatem spowoduje, że Śląsk po prostu zapadnie się pod ziemię, gdy zabraknie pod nią paliwa, ale także skutecznie będzie zatruwał resztę kraju. Dochodzimy więc do punktu, kiedy powinno paść pytanie, czy rzeczywiście Moc musi pochodzić od Węgla.

W świecie uporano się z tym pytaniem dość dawno. Odpowiedź brzmi — NIE. A rozwiązaniami elternatywnymi są: ropa naftowa, energia atomowa i hydroenergia. Wymieniam tylko te trzy, bo tylko one mają istotne znaczenie użytkowe i ekonomiczne. Wiatraki, latawce i inne soczewki skupiające promienie słoneczne pozostawiam hobbistom z TVP oraz „zielonym".

Zastanówmy się teraz, co w Polsce mamy i co może nasz problem Mocy rzeczywiście rozwiązać. Niestety, nie jesteśmy drugim Qubeckiem i nie mamy tyle wody, aby rozjarzyć blaskiem nasze domy, huty, fermy kurze i — od niedawna — kasyna. Nie jesteśmy nawet drugą Bułgarią, która swego czasu postawiła na Moc z wody i niestety się „przewiozła", kiedy przyszły trzy kolejne lata suszy i trzeba było wyłączać wszystkim. Wszystkim znaczy w tym wypadku Wszystkim, z czego robiono nawet propagandowy użytek. No bo jak wszyscy, to Wszyscy mogą posiedzieć po ciemku. I raczej nikła szansa, aby wróg akurat w tym momencie zaatakował. Chyba, że w zmowie z Dyspozycją.

Ropa naftowa jako potencjalny kandydat pozostała w Drohobyczu, a tej „płockiej" ledwie wystarcza na bezkartkową benzynę o liczbie oktanowej ustalonej w wyniku losowania. Na Irak i Kuwejt też bym się nie nastawiał.

I TAK oto dochodzimy do atomu. Po tym stwierdzeniu powinienem w zasadzie zakończyć i odbyć marsz antyatomowy z domu do redakcji, a następnie u zbiegu ulic Lipowej, Okopowej i Skłodowskiej (nomen omen) zorganizować wiec zakończony rezolucją rozesłaną Wszędzie. Tylko, że ja jednak lubię mieć światło w żarówce, lód w zamrażalniku i redaktora Woźniaka w telewizorze. Nic nie poradzę! Postawiłem na taką Moc i jej pragnę. Nawet gdyby musiała pochodzić z Klempicza!

Być może jestem człowiekiem prymitywnie wierzącym w postęp cywilizacyjny, ale w dzisiejszej sytuacji energetycznej PRL energia atomowa jest po prostu najbardziej racjonalną i najtańszą drogą do wyjścia z również energetycznego kryzysu. Wrzawa wokół (nie)budowania elektrowni jądrowych przypomina mi „spontaniczne" ruchy oporu przeciwko parze, elektryczności oraz urządzeniom nimi napędzanym. Można by jeszcze dodać do tego — dynamit. Co przekonuje mnie, że jest to problem po prostu psychologiczny, a nie ekologiczny. Ekologia klęski, zakładająca, że każda elektrownia atomowa musi tak czy siak wybuchnąć, nie jest dla mnie żadną ekologią. Podobnie jak nie byłoby ekologią zburzenie cegielni, bo cegła z niej pochodząca zabiła przechodnia, który zaplątał się na budowie.

Energia atomowa jest niewątpliwym osiągnięciem cywilizacji XX wieku. Jest to naturalnie energia bardzo niebezpieczna, zarówno ze swej natury, jak i możliwości nią manipulowania (co przez lata wskazuje Andriej Sacharow i za co, a nie za wymyślenie bomby wodorowej, dostał Nagrodę Nobla!). I to jest zasadniczy problem, a nie energia jako taka.

Skoro ujawniliśmy Moc tkwiącą w reakcjach jądrowych, musimy stworzyć takie technologie posługiwania się nią, aby nie zagrażała. Tak powinien być sformułowany problem, i nim się należy zająć, a nie idiotycznym epatowaniem ludzi rysunkami kościotrupów na Rynku Kazimierza nad Wisłą.

PRZED energetyką jądrową nie ma ucieczki! Kto tego nie pojmuje, żyje w skansenie umysłowym. Trzeba jedynie uciekać od głupoty, jaka może towarzyszyć posługiwaniu się tą Mocą i jej wytwarzaniem. Co nam bardzo dobrze pokazał Czarnobyl. I dobrze, że pokazał, choć za cenę zaiste tragiczną! Wciąż wierzę, że z tej lekcji wyjdziemy bogatsi o mądrość pokonywania problemów, a nie uciekania przed nimi. Dlatego z prawdziwą satysfakcją przyjąłem informację, że w Szwecji ludność miasta, w którego pobliżu pracuje elektrownia atomowa, zaprotestowała przeciwko jej likwidacji i budowie nowej o paliwie węglowym. Jest to jedna z niewielu optymistycznych wiadomości, jakie dotarły do mnie ze świata w bieżącym roku.